



Rys. I. Szalecki

**K**AZDOROCZNA wiosna otwiera nam imprezę, która rozprawdza na kraj wartości kulturalne w ilości zmasowanej: Dni Oświaty, Książki i Prasy. Wprawdzie szerzyć kulturę jest zadaniem u nas powszednim, ale tradycyjnie już mamy wybrany jako okres specjalnego w tym względzie napięcia i połączenia to zdaje egzamin. Ochoćż ludzkiego działania czerpie podniecie od rozrostu sił w przyrodzie i tak koezystują literatura, muzyka, taniec, rozrywka, z ciepłymi promieniami słońca, zielenią drzew. Rozlegały się kiedyś głosy, że to pora roku nie narzyły odpowiednia, bo w tym czasie rozpoczynają się siewy, ale widocznie rozsiew treści, o których mowa jest równie dobrze przyjmowany, skoro tyle już lat w maju ożywiają kluby, świetlice, remizy, sale szkolne i biblioteczne.

Jest pewna cecha tych Dni, którą warto podkreślić szczególnie: odwrócenie porządku. Zazwyczaj odbiorca zamierzający nawiązanie kontaktu z placówką kulturalną sam się musi do niej pofatygować: do teatru, filharmonii, salonu BWA. W maju kolejność się zmienia. Wystarczy znaleźć się w miejscu zamieszkania, by niemal codziennie otrzymywać oferty rozrywki czy przejęcia artystycznego ze strony zespołów, które same rozjeżdżają się po kraju nawiązując kontakty z środowiskami odbiorczymi. Można nawet powiedzieć, że odbiorca wzrasta w cenie. O jego uwagę zabiegają pisarze z wieczorami autorskimi, prelegenci popularyzujący wiedzę, aktorzy estradowi z programami satyrycznymi, hobbyści wielu dziedzin i profesji.

Tegoroczne Dni sąsiadują w kalendarzu z wydarzeniami o znaczeniu szczególnym i to jest powodem wzrostu ich rangi: z uroczystościami Kopernikowskimi, Kongresem Nauki Polskiej, a przede wszystkim z już sporządzonym i już dyskutowanym Raportem o Stanie Oświaty. O niedomaganach dzisiejszego kształcenia w Polsce mówiono od dawna, czyniono w tym względzie pewne kroki zmierzające do poprawy, co widać było szczególnie pod postacią tzw. eksperymentów, ale generalna modernizacja nastąpi dopiero teraz, po sporządzeniu Inwentarza dotychczas stosowanych metod i środków, jakim jest Raport. Tu i tam słyszano się sporo uwag krytycznych dotyczących programu i organizacji nauczania, mamy więc nadzieję, że po ogólnonarodowej dyskusji wiele słusznych tendencji zarysuje się w postaci konkretnych projektów, a temat „oświata” zawarty w tytule imprez będzie ku temu nie małą okazją.

Nie można zaprzeczyć, że Dni wymagają poważnego wydatku wysiłków ze strony organizatorów, że pewien element improwizacji jest tu niezbędny, a nawet ujmując charakterystycznie. Ale wszystko to posiada zdolność odschematyzowania tej niekiedy trochę zurzędniczej działalności, przywrócenia jej spontaniczności, która niechby na miesiąc stała się podobna do „artystycznego rozwichrzenia”. Dlatego bilans Dni nie możemy sporządzać arytmetycznie. Pozycją jest tu przede wszystkim ożywiona atmosfera, nawet podniecenie sensacją tak niezbędne dla utworzenia drogi prezentowanym treściom w świadomość odbiorcy.

Odbiorca kultury ma ugruntować w sobie przekonanie, że mając „sezon”. I rzeczywiście rzuca się w szał geograficzną województwa tyle imprez, występów, wydarzeń i atrakcji, jak by na ten czas przestała wystarczać zasada jakości, a sięgnęto po środek przede wszystkim ilościowego działania. Cóż, rzeczywistość ma to być środek uderzeniowy, pozostać napędową siłą dla kulturalnych zainteresowań na cały rok. Do następnego maja.

Wkrótce do wsi, do miasteczek, do zakładów pracy, do domów kultury wyruszy pochód akordeonów, wierszy, wstążek, młodoci i ochoty. Już wiosna liściami drzew zapala mu zielone światło.

## „Pseudoklasycyzm” czy klasycyzm?

Eugeniusz Gołębiowski  
Str. 5

## RUCH w nocy

Ireneusz J. Kamiński  
Str. 5

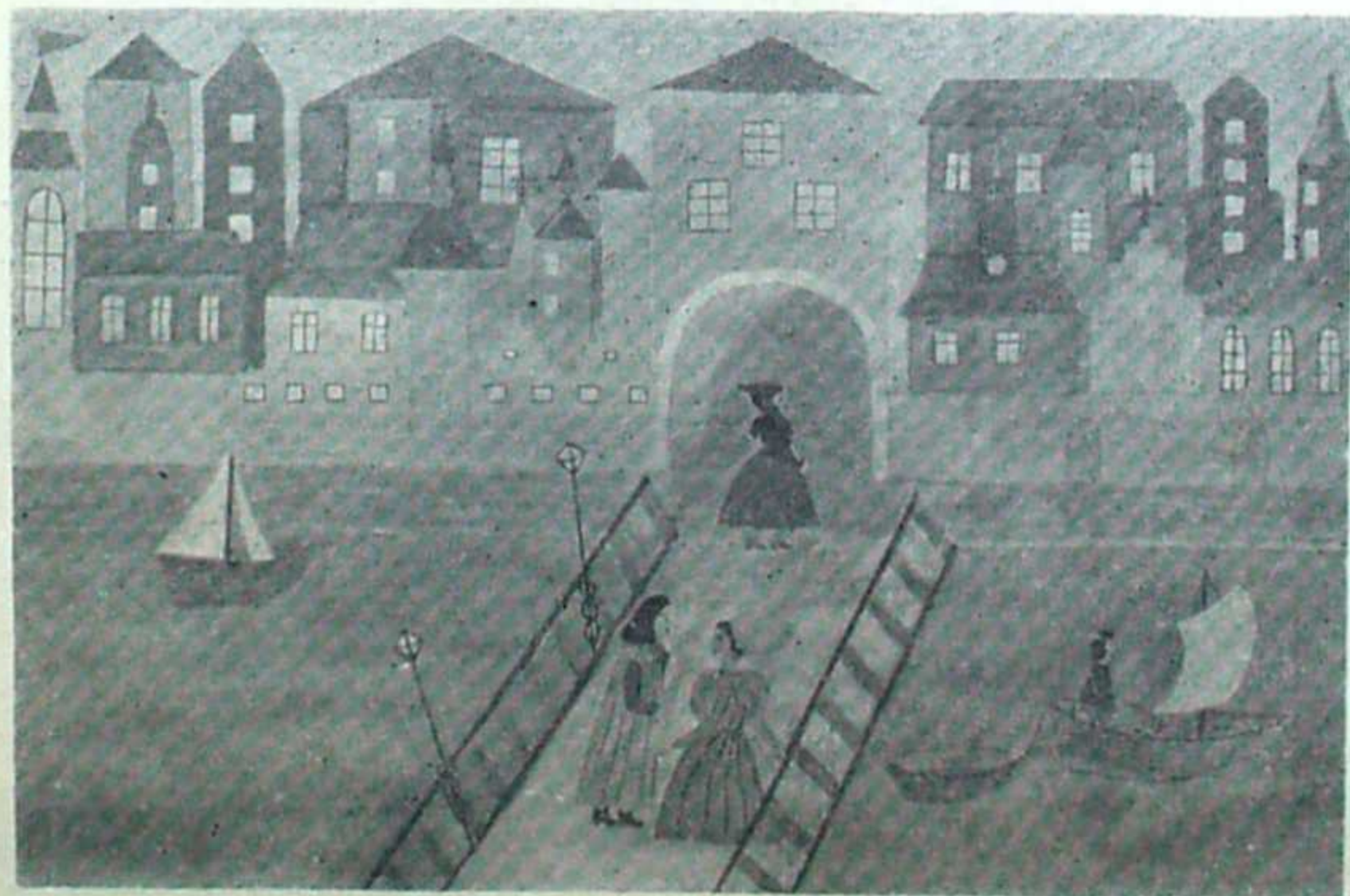
## Aglomeracja

Jan Martychiewicz  
Str. 6

## Kopernik w oczach dzieci



Jak już informowaliśmy, w salach ekspozycyjnych Bramy Krakowskiej w Lublinie otwarto wystawę plastyczną prac dzieci i młodzieży szkół lubelskich, tematycznie związaną z postacią i dziełem Mikołaja Kopernika. Wystawa zorganizowana została przez Inspektorat Oświaty PMRN w Lublinie, Muzeum Okręgowe — Oddział Historyczny oraz redakcję „Kamena”. Dziś reprodukcujemy sześć prac: u Góry malarstwo Haliny Mazur z kl. VI b, Szk. nr 35 „Kopernik na rynku krakowskim” (nauczycielka: A. Kozłowska), niżej — obraz Anny Galuszkiewicz z kl. VI a Szk. nr 25 „Kopernik we Włoszech” (naucz. M. Wojteczki). Pozostałe cztery prace — patrz, str. 5.



## Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

Stróilem ciebie w moją łagodność  
W najbliższe pod-óte szybko zagle godzin  
W gwiazdę kołującą w wyspach i zatakach  
Obłożoną oddechem gasnącej pościeli

## Erotyk IV

Stróilem ciebie w kryształny obnażone  
Szkłane palce-ptaki przyczożone we włosach  
Dumne skrzydła kałeczące przestrzeń  
Między nami błkiet lustrzanego wzroku

Stróilem ciebie w dzikie rytmy Broadwayu  
W atchłań twarzy w zalążku mega lotu  
Zapada gwałtownie lodowata ciemność  
Trwa jeszcze refleks gestu — orszak nudyh haftów

**T**A szkoła ma pierwszorzędną opinię w mieście wojewódzkim Lublinie, w tutejszym zaś Kuratorium ma opinię taką samą jak „szóstka”, a jak coś ma opinię prawie taką samą jak „szóstka”, to znaczy, że ma opinię prawie idealną. Marian Pakula, dyrektor szkoły podstawowej nr 9, twierdzi, że jego placówka nie jest ani bardzo dobra, ani bardzo zła, tylko po prostu średnia. Lecz myślę, iż to skromność przesadna, i zaraz mógłbym tu przytoczyć szereg argumentów, że to szkoła więcej niż średnia na tle dzisiejszego stanu szkół podstawowych w Lublinie.

Ale ja w tej chwili nie chcę myśleć o „dziewiątce” kategoriami dzisiejszego stanu szkolnictwa, lecz ujrzeć ją w perspektywie zmian systemu szkolnego, do jakich będzie się szykować nasze szkolnictwo w oparciu o ustalenia przyniesione przez raport o stanie oświaty oraz w oparciu o społeczną dyskusję nad tymi ustaleniami. Jakże ta szkoła, zbudowana przecie niedawno, bo w 1962 roku, będzie miała szansę w nowej sytuacji szkolnictwa? To znaczy w przyszłej sytuacji szkolnictwa?

## LUBELSKA »DZIEWIĄTKA«

Maciej Podgórski

W początkach kwietnia na to pytanie nie potrafiono w szkole udzielić mi bezpośredniej odpowiedzi, albowiem skrócona wersja raportu o stanie oświaty jeszcze do tej szkoły nie dotarła, aczkolwiek do wszystkich szkół miała dotrzeć podobno już w marcu. Więc jak oni mają dyskutować?

Zanim nastąpią długofalowe, zasadnicze zmiany systemu oświaty, będzie trzeba do 1980 roku zrobić przynajmniej trzy rzeczy: wyrównać poziom pracy szkół wiejskich i miejskich, przygotować kadre nauczycielską oraz bazę materialną szkolnictwa. Niezależnie od tego, jak się potoczy dyskusja nad tezami raportu o stanie oświaty, te trzy sprawy już teraz wydają się ewidentne i bezdyskusyjne.

Pierwsza kwestia w tym przypadku odpada, bo chodzi o szkołę miejską, i to szkołę dobrą. „Kiedy patrzę na dzieci, które przychodzą do pierwszej klasy z naszego rejonu, to myślę, że moglibyśmy przyjmować i sześciolatków” — powiada dyrektor Pakula. A istnieje możliwość, że w roku szkolnym 1974/75 we wszystkich miastach wojewódzkich przyjmowane będą do szkół podstawowych także dzieci sześciolatek.

Dyrektor oraz nauczyciel wychowania fizycznego, Arkadiusz Łątka, to są jedyni dwaj mężczyźni w 43-osobowym gronie nauczycielskim, w którym 12 osób ma wykształcenie wyższe, 25 — po studium nauczycielskim oraz 6 z wykształceniem średnim, przy czym 29 osób nie liczy więcej niż 40 lat życia. Aktualnie kształcą się zaocznie na wyższych uczelniach 5 osób. Ponieważ już obec-

(Dokończenie na str. 6—7)





Kradzież w rękawiczkach

Można to tak nazwać, chociaż Amerykanie mówią, że sprawcami tego typu przestępstw są „białe kolnierzyki”. Tygodnik „U.S. News and World Report” stwierdza, że o zbrodniach popełnianych na ulicach informują nagłówki gazet, jednakże przestępstwa dokonywane przez ludzi należących do „białych kolnierzyków”, takie jak oszustwa, defraudacje, uchylanie się od płacenia podatków, łapownictwo kosztują Amerykę dużo więcej niż lupy rabusiów, bandytów i złodziei. Ekspert ostrzegają, że gwałtownie wzrasta liczba nielegalnych interesów. Nikt nie wie dokładnie, ile kosztują Amerykę przestępstwa dokonywane przez „białe kolnierzyki”, 6 lat temu komisja prezydencka podała, że roczne straty w związku z oszustwami wynoszą w Stanach Zjednoczonych ponad 1,3 mld dolarów, a w związku z defraudacjami — 200 mln, czyli około pięć razy więcej niż lupy

co każdy z nich plać 30 marek tygodniowo. Daje to piękny wynik na stopę kwadratową powierzchni, wpływając na konto fabryk posiadających obozy. Przepisy porządkowe są różne, lecz zgodnie co do zasady: zabraniają prostytucji i polityki. Dotąd udawało się unikać ostrych sporów na tle politycznym, ale ostatnio robotnicy znajdują wspólny język.

Power pisze, że na tydzień przed jego wizytą w obozie zakładów Mercedes Benz w Stuttgartzie odbył się strajk wokół sprawy „walki w pokoju”. Dotąd robotnicy trzymali swe walki w domu, ale kierownictwo uznało, że zajmują one zbyt wiele miejsca i polecił złożyć je w magazynie. Robotnicy odmówili, stwierdzając, że problemem nie jest walka, lecz zbyt szczerpa ilość miejsca przypadającego na każdego z mieszkańców. Gdy mężczyźni udali się do pracy, kierownictwo zorganizowało przewóz walizek do magazynów. Ale kiedy robotnicy wrócili z fabryki i zobaczyli, co się stało, natychmiast zdecydowali się

Literatura

W Warszawie odbyła się X narada przedstawicieli prezydentów zarządów głównych związków paryżyjskich, Czechosłowacji, DRW, Jugosławii, Kubę, Mongolii, NRD, Polski, Rumunii, Węgier i ZSRR. Mówiono o współdziałaniu tych związków jak również o współpracy z postępowymi organizacjami w krajach zachodnich i Trzeciego Świata.

W konkursie zamkniętym na słuchowisko współczesne dla radia pierwszą nagrodę zdobył Jerzy Grzymkowski za „Jaki jest, którego?”

Julian Kawaler wydał w Czystańce powieść „Przepłyniesz rzekę”, PIW natomiast konczy druk tomu opowiadań „Purka toczy się drogą”.

W NRD ukaza się w tym roku tłumaczenia „Tabliczki marzenia” Haliny Smogkiewicz, „Dzieci departamentu Sekwany” Wandy Zólkiewskiej i „Pogoni za Adamek” J. St. Stawiewskiego. W Rumunii została wydane dwa tomy opowiadań Jarosława Iwaszkiewicza.

Za przekłady z literatury rosyjskiej, a zwłaszcza Lwa Tołstoja, japoński tłumaczka prof. Hakujo Nakamura otrzymała nagrodę Akademii Sztuki w Tokio w wysokości 500 tys. jenów.

We Francji dużym powodzeniem cieszą się dzieła zbiorowe. W roku ub. sprzedano 30 tys. egzemplarzy dzieł Balzaka, 180 tys. osób zaobserwowało pełne wydanie Wiktor Hugo, 30 tys. nabywców znalazły dzieła gen. de Gaulle’a.

stynia. Nagrodę zyskał za obraz „Mar-  
twa natura z rebiusza”.

Pablo Picasso pozostawił po sobie około 14 tys. obrazów i rysunków, 100 tys. innego rodzaju grafiki, 34 tys. ilustracji książkowych i 300 rzeźb oraz dzieł sztuki ceramicznej. Jego bogata kolekcja obrazów słynnych mistrzów w dowód wdzięczności za wieloletnią gościnę we Francji zgodnie z życzeniem zmarłego zostanie umieszczona w Luw-  
rze.

Muzyka

Laureatem Nagrody Sekej Kryty-  
ków SPAM za wysoki poziom intelektualny i literacki publikacji o muzyce został Marian Waltek-Walwski.

W Warszawie odbyło się drugie Międzynarodowe Spokanie Chórów z udziałem zespołów z 19 krajów. W ostatnim koncercie wystąpiły połączone chóry, razem około tysiąca śpiewaków.

Poemat filozoficzny Mikołaja Kopernika „Septem sidera” („Siedem gwiazd”) stał się kanwą utworu na chór mieszany a capella poznańskiego kompozytora Aleksandra Szeligowskiego.

Festiwal Piosenek Żołnierskiej w Kolobrzegu odbędzie się w dniach 1-4 lipca. Zgłoszono 55 nowych utworów, napisanych specjalnie na festiwal. W jego ramach odbędzie się również „Koncert trzydziestolcia” — w którym czelności piosenkarzy zaprezentują najbardziej popularne w tym okresie piosenki wojskowe.

Jerzy Semkow dyrygując Dońską Orkiestrą Królewską odbył tournée po miastach Wielkiej Brytanii.

Finalowym koncertem w festiwalu w Royan (Francja) dyrygował Andrzej Markowski. Występowała też klavierszniczka Elżbieta Chojnowska.

Polski Zespół Pieśni i Tańca „Willa” w Wilnie zorganizował uroczyste wieczór Moniuszkowski. Zespół wspólnie z Polskim Teatrem Ludowym ze Lwowa przystąpił wieczór poświęcony twórczości Moniuszki i Mickiewicza.

Po 19 latach przerwy opera z Pragi wystąpi w NRF. W Wiesbaden wystawiono „Sprzedana naręczona” Smetany oraz „Eugeniusz Oniegin” Czajkowskiego.

Teatr

Tegoroczna „Ślaska wiosna teatralna” rozpocznie się 3 maja i będzie poświęcona Moliere’owi. Gospodarzem imprezy jest Teatr im. A. Mickiewicza w Częstochowie.

Teatr Ludowy pokazał po raz pierwszy w Warszawie sztukę St. L. Witkiewicza „Hezlimiense dzieło” w reżyserii Jana Kulczyńskiego.

Sztuki rumuńskie rzadko pojawiają się na naszych scenach. Ostatnio 10dzki Teatr Powszechny wystawił Iona D. Sirbu „Arka dobrej nadziei” w reżyserii Rumunki Georgety Tomescu. Akcja toczy się w arce Noego.

Na Rzeszowszczyźnie istnieje ponad 150 kół przyjaźni teatru, w tym 100 na wal. Urządzą one stale wycieczki do teatrów, a następnie dyskusje na temat oglądanej sztuki.

Teatr Pantomimy Tomaszewskiego konczy osmiotygodniowe tournée po Stanach Zjednoczonych. Prasa pisała bardzo pochlebnie o zespole polskim.

Scenograf Andrzej Majewski przygotowuje oprawę dla „Elektry” w jednym z teatrów Paryża, a następnie do pewnego baletu w Austrii.

Ukraiński Teatr Dramatyczny we Lwowie wystawił „Księżkę i ogrodnika” Władysława Krzemińskiego.

Sztuka

Marynarze liniowca PLO „Marceli Nowicki” przywieźli ostatnio z Australii szczytki żaglowca „Otago”, którym kiedyś dowodził jako kapitan Józef Conrad. Szczytki znalazły się w Centralnym Muzeum Morskim w Gdańsku.

Przy Wydziale Filozoficzno-Historycznym UJ powstało Podopiumowe Studium Muzeologiczne. Nauka trwa dwa semestry i jest prowadzona systemem zaocznym. Od nowego roku akademickiego mają być czynne także studia stacjonarne.

Do 23 kwietnia w Warszawie, a następnie w Katowicach czynna była nieregularna wystawa — przeniesiona z Paryża Jesienią Salon 1972. Wystawę tego typu ekspozowane są w stolicy Francji od lat 10 i gromadzą najwybitniejsze dzieła współczesne.

Poznańskie Muzeum Narodowe zorganizowało wystawę nieznanego malarstwa polskiego z drugiej połowy XIX wieku i pierwszych 30 lat XX wieku.

Muzeum Historyczne Warszawy obchodzi 25-lecie istnienia. Ma ono w swoich zbiorach ponad 40 tys. warszawianów — obrazów, grafik, numizmatów, wyrobów rzemieślniczych artystycznych, sprzętów i tkanin, prowadzi też szeroką działalność oświatową i wydawniczą.

Na górze zamkowej w Cieszyńcu powstanie centralny ośrodek archeologiczny woj. katowickiego, gdzie eksponowane będą zbiory archiwalne, wydawnictwa i zabytki archeologiczne.

Muzeum regionalne w Szczecinku przekształca się w „muzeum kultury lasu”.

W budynku przy głównej ulicy Nowego Jorku odbyła się wystawa 42 płócien olejnych sdyńskiego malarza Konstantego Gorbatowskiego.

„Wielka nagroda wiecznego miasta” na międzynarodowej wystawie w Rynie otrzymał malarz amator Antoni Korcik, zamieszkały w Roubaix we Francji dokąd przybył przed 40 laty spod Go-

Film

Dla naszych kin zakupiliśmy ostatnio 40 fabularnych filmów zagranicznych o dużej wartości artystycznej.

Na ekrany kin Czechosłowacji wrzucił dwuczęściowy obraz pt. „Dni zdrady” w reżyserii Otokara Vavra. Jego treścią są dramatyczne dni jesieni 1918 roku, gdy zachodni sojusznicy wydal Czechosłowację na łup Hitlera.

Luchino Visconti zrealizował nowy film „Ludwig — zmierzch bogów”. Jest on osony na życie Ludwika II Bawarskiego, który najpierw zamierzał stworzyć nową religię, „religię pikana” z sobą jako jej arcykapłanem, a potem tracił życie na szczytach górskich.

Różne

XVIII Międzynarodowe Targi Książki odbędą się w warszawskim Pałacu Kultury i Nauki w dniach 13-20 maja. Założono się 25 wystawców z 23 krajów, którzy pokażą około 90 tys. książek.

W Tarnowie kończą się finały turnieju centralnego XIX Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. W konkursie na różnych szczeblach brało udział około 50 tys. młośników żywego słowa.

25 znanych radzieckich twórców i artystów otrzymało odznak „Zasłużony dla kultury polskiej” m. in. D. Szostakowicz, S. Richter i M. Miazgajew.

Lubliniana

Grupa „Konsens”, złożona z czterech studentów lubelskich pod kier. J. Byśzowskiego, wykonała ciekawie dwuczęściowy spektakl „Dwie propozycje konceptualne”. Oby się na tym nie skończyło!

Przy Kole Naukowym Polonistów UMCS powstało Studium Poezji Współczesnej.

Właśnie kończy się zorganizowana przez studentów ósma z Bogi Lubelska Wiosna Teatralna z udziałem zespołów polskich i zagranicznych.

Przez tydzień przebywał w Austrii Zespół Tańca Ludowego „Grażyna”, sając i spektakli, które przez recenzentów zostały ocenione bardzo wysoko.

TWP, PTTK, redakcje „Standardu Ludu”, „Kurierza Lubelskiego” i Rozgłosi Lubelskiej PR, pod patronatem Tow. Młośników Lublina i MK PJJ, uruchomiły roczne Studium Wiedzy o Lublinie. Zajęcia będą odbywały się co drugą niedzielę, opłata za semestr wynosi 60 zł.

# Świat w którym żyjemy

złodziei i bandytów pracujących tradycyjnymi metodami.

A oto przykłady nielegalnych lub nieetycznych praktyk:

- szef działu inwestycji w przedsiębiorstwie umieszcza udziały w postaci depozytów w banku w zamian na pożyczki dla kompanii o zachwianej pozycji;
- kierownictwo kompanii dowiedziawszy się o nadchodzących zmianach na rynku, które mogą spowodować podwyższenie lub obniżenie wartości zapasów firmy, zakupuje lub przekazuje swe udziały zanim wszyscy dowiedzą się o tym, co się dzieje;
- szefowie firmy dzielą zyski z outsiderami, którzy handlują weksłami i papierami wartościowymi o niepewnej wartości; obligacje są sprzedawane i część zysków jest wykorzystywana dla kontrolowania udziałów firmy — sprowadza się to do kupowania przedsiębiorstwa za jego własne pieniądze.

nie płacić komornego do czasu zwrotu walizek. Po dwóch tygodniach strajku — zwyciężyli.

A oto opinia Powera o paryskich slumsach: „Paryż jest niezwykle piękny, niewiarygodnie pięknym miastem, ale na jego zewnętrznych krańcach leżą najstraszniejsze slumsy świata. Nazywa się je bidonville — dosłownie miasta z puszek od konserw. Ale obecnie nie to eufemizm: blacha z puszek jest dziś materialem luksusowym. Większa część bidonvilles zbudowana jest z drewna i lektury, ze starych opakowań. Portugalczyki i Algierczyki stanowią większość ich mieszkańców.

### Zgon pod przychodnią

We Francji coraz szersze kręgi zatacza ostatnio dyskusja na temat pogorzenia się lecznictwa w ogóle, a przede wszystkim państwowej służby zdrowia. W wielu wypadkach jest to związane z przestarzałymi przepisami uniemożliwiającymi lekarzom i innym pracownikom służby zdrowia szybkie niesienie pomocy ofiarom wypadków oraz z brakiem miejsc w szpitalach i nieodpowiednim ich wyposażeniem.

„Paryż — przed dworcem Saint-Lazare, około godziny 12.30 — pisał „Le Monde”. — Na chodniku wśród licznych przechodniów jakiś człowiek pada nagle przed samymi drzwiami apteki. Policjant i przechodnie przenoszą człowieka, który zasnął, do apteki i kładą go ostrożnie na podłodze pod ścianą. Chory stracił przytomność i widąc, że ma krótki oddech, że się dusi. Ktoś sobie przypomina, że w tym samym domu jest przychodnia lekarska i biegnie po pomoc. Słyszy jednak odpowiedź lekarza dyżurnego: „Nie mamy prawa opuszczać miejsca pracy. Trzeba przyprowadzić do nas chorego”. Policjant proponuje wówczas, by chorego przeniesiono na krześle do przychodni. Powstrzymuje go aptekarz, który twierdzi, że chorego nie można ruszać w takim stanie. Ktoś wzywa pogotowie i karetka przybywa około godziny 13-tej. Po dziesięciu minutach człowiek, który zasnął na ulicy, jest już w szpitalu, ale lekarze mogą tylko stwierdzić zgon. Na zarzut, że choremu nie udzielono w aptece natychmiastowej pomocy, aptekarz odpowiada, że nie wolno mu tego czynić, nawet w przypadkach nagłych. Takie są przepisy, a poza tym rodzina chorego mogłaby mieć pretensje jeśli chory umrze, że właśnie interwencja pracowników apteki lub leki, jakie mu podano, spowodowały śmierć. Grozi to procesem i dlatego przepisy wydane przez Zrzeszenie Farmaceutów zabraniają im interwencji. Również lekarz dyżurny w przychodni oświadcza, że nie wolno mu w żadnym wypadku opuszczać stanowiska i udzielać pomocy poza przychodnią. Przekładają to zarówno zasady ustalone przez Związek Lekarzy jak też wewnętrzny regulamin przychodni. Wiąże się to m. in. z tym, że najszybszą pomocą lekarz może udzielić w przychodni, w ambulatorium lub szpitalu, gdyż dysponuje wówczas całym niezbędnym do tego sprzętem. Udzielenie pomocy przez przechodniów komuś, kto zasnął na ulicy lub uległ wypadkowi, powinno się więc ograniczać do wezwania karetki pogotowia...”

### Picie po amerykańsku

Większość rodziców odczuwa... ułgę — pisze „Newsweek” — odkrywając, że ich dzieci używają raczej alkoholu niż narkotyku. Jednakże wśród wielu dorosłych, którzy są znawcami doskonałych win i dobrej whisky, przerażenie budzą niektóre napoje alkoholowe, w których lubuje się ich potomstwo. Poza piwem, które jest bez wątpienia najbardziej popularnym napojem z zawartością alkoholu, młodzież pije słodkie wina, szeroko reklamowane przez telewizję; jak twierdzą niektórzy przedstawiciele szkolnictwa, wina słodkie trafiają przede wszystkim na rynek młodzieżowy; ponieważ niewielu jest dorosłych o zdrowiu na tyle zdrowym, by mogli wytrzymać ich picie.

Najważniejszym aspektem odrodzenia obyczaju picia jest coraz częstsze nadużywanie alkoholu przez uczniów szkół w klasach niższych. Narodowa Rada ds Alkoholików podała w 1972 r., że wiek najmłodszych alkoholików obniżył się z 14 do 12 lat. A jeśli młodzież łączy nadużywanie alkoholu z narkomanią — rezultaty mogą być tragiczne. W ub. r. członek drużyny plywakowej w jednej ze szkół w San Francisco zażył kilka pigulek, popił je paroma drinkami i następnego dnia znalazł się go martwego.

### Nowi proletariusze

Tak nazywa Jonath Power na łamach amerykańskiego czasopiśma „The Progressive” cudzoziemskich robotników, pracujących w krajach Europy zachodniej. Są to ludzie „ile oplacani, niepewni stałości swego zatrudnienia, mieszkający nieradko w walażych się domach, najczęściej oddzieleni od swych rodzin”. „Europa zachodnia nie mogłaby nie działać bez swych zagranicznych pracowników — jest to oczywisty fakt. Od początku rewolucji przemysłowej kapitalistyczna machina wysysała klasę robotniczą. Najpierw swą własną, a później, kiedy dopłynęła do brzozy kraju okazał się niedostateczny, państwa uprzemysłowione sięgnęły do bardziej zacofanych obszarów Europy”.

W NRF — stwierdza J. Power — chętnie podkreśla się, że ich (Niemców) antyrodzinną polityka sprawia, że w kraju tym nie ma francuskich slumsów. Jest to prawda. Natomiast to, co mają, to specjalne obozy robotnicze. Wielkie kwatery barakowej zabudowy, czyste i pozabawione wyrazu. Trzech mężczyzn na każde pomieszczenie o rozmiarach 12 na 6 stóp, za

Inny problem porusza „Le Nouvel Observateur”. Pismo stwierdza, że od jakiegoś czasu trwa polemika między przedstawicielami szpitalnictwa państwowego, a Zrzeszeniem Klinik Prywatnych. Państwowy zarząd szpitalnictwa zarzuca właścicielom klinik prywatnych, że jedynym celem ich działalności jest pogon za zyskiem, że kryterium rentowności przesłoniło im prawdziwy cel, do jakiego powinni dążyć, a mianowicie zapewnienie chorym jak najlepszych warunków leczenia.



Gracyna Markowska: „Akta”, olej (tytuł. „Malarstwo z własnej natury” na str. 19)

**W** DNIU 4 grudnia 1972 r. zmarł Andrzej Holowko, wybitny prozaik ukraiński, jeden z pierwszych pisarzy, którzy rozpoczęli swą drogę literacką bezpośrednio po Rewolucji Październikowej.

Urodził się w 1897 roku we wsi Jurki na Poltawczyźnie. Uczył się w szkole realnej w Kremeneczu. Podczas pierwszej wojny światowej walczył na froncie, następnie po Rewolucji uczestniczył jako ochotnik w walkach o ustanowienie władzy radzieckiej. Był też wykładowcą w szkole podoficerskiej w Charkowie, nauczycielem, pracował w rolnictwie.

Działalność literacką rozpoczął w roku 1918. Wtedy ukazał się jego zbiorek wierszy pt. „Samocwoty” (Drogi kamienie). Od tej pory systematycznie drukował swoje utwory w periodykach. A w r. 1924 wydał zbiór opowiadań pt. „Moje”, którym dał się poznać jako autentyczny talent w prozie artystycznej. Opowiadania te dotyczyły okresu wojny domowej oraz życia nowych ludzi na wschodniej Ukrainie. W roku 1927 ukazała się jego pierwsza powieść „Burasz” — wybitny utwór o życiu wschodniej Ukrainy z początku lat dwudziestych. A w ogóle tematyka wiejska przez cały czas dominuje w jego twórczości.

W roku 1932 A. Holowko napisał nową powieść pt. „Matka”, która stanowiła pierwszą część planowanej trylogii o walce ukraińskiej w lat 1906-1922. „Matka” ukazała się w roku 1934. Była ona też tłumaczeniem...

Nowa duża powieść opopela „Anon Harnasza”, dotycząca okresu rewolucji 1917 roku na Ukrainie, ukazała się w dwóch częściach w roku 1931 i 1932.

Swój twórczości uwielbiał A. Holowko wiele poświęcił do literatury ukraińskiej. Jego utwory stanowią już obecnie klasę literatury radzieckiej. Prócz czasu wytrzymały zbiór powieści „Burasz” i „Matka”, które miały już cały szereg wydań, a także ukazały się w tłumaczeniach na rosyjski, białoruski, niemiecki, czeski, węgierski, rumuński, chiński i polski.

Odjeżdżał Andrzej Holowko z szeregiu pisarzy ukraińskich spowodowane dużą stratą dla literatury ukraińskiej i ogólnego światowego literatury. Związki Radzieckiego. Interesujące wywołania — niekiedy ukazywały się w prasie radzieckiej ostatnich miesięcy. Podkreślał on wartość artystyczną oraz ideową utworów pisarza ukraińskiego.



osona na język polski bezpośrednio po drugiej wojnie światowej.  
Podczas II wojny światowej Holowko przeżywał na froncie jako korespondent wojenny gazety „Kommunist”. Napisał



**W**YOBRAZMY sobie zdjęcie wykonane w godzinie dwunastej w nocy na trójbojowym podwórku w Lublinie przy ul. Bucza 24, niedaleko od mostu na Bystrzycy i baru „W-Z”, kilkaset metrów od dworca kolejowego i trzy kilometry od drukarni przy ul. Unickiej: samochód dostawczy marki „Zuk” z napisem „Łączność” stoi tyłem do plastikowego zadaszenia, pod którym gazety w stosach o dwumetrowej wysokości, obok niego Czesława Solowiej ugina się pod ciężarem określonego drutem pakunku, skierowana w stronę Jadwigi Krasickiej, odwróconej bokiem do następnego w tym łańcuchu kobiety; po drugiej stronie opuszczonej klapy samochodu rysuje się barczysta sylwetka Szczepana Mazura — w jednej dłoni worek z gazetami o wadze 25 kg, w drugiej jakieś papiery. Przez ostro oświetlone okna pod zadaszeniem widać kilka kobiet, segregujących prasę, która do godziny 7—9 musi znaleźć się w najbardziej odległych miejscowościach województwa, bo jak nie, to będzie afera.

„Zdjęcie” wykonano w kwietniową noc z piątku na sobotę, lecz utrzymało ono sytuację typową, powtarzającą się od ponad 20 lat, tzn. od daty wyodrębnienia się „Ruchu” w samodzielne przedsiębiorstwo, zajmujące się kolportażem prasy i kilkoma jeszcze innymi sprawami; jedyną zmienną tej fotografii są nazwiska ludzi, choć w pewnym wypadku jest to element jeszcze bardziej stały, niż obecność „Ruchu” (dziś nazywa się to RSW „Prasa-Książka-Ruch”). Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki pozostaje jednak przy tradycyjnym określeniu w naszym życiu codziennym. Aby ożywić to zdjęcie, trzeba cofnąć się w czasie.

Godzina ósma wieczorem, piątek. Część nocnej zmiany jedzie „Zukiem” na dworzec kolejowy, skąd odbiera prasę centralną, m. in. kolorowe czasopisma ukazujące się w różnych miastach kraju. Zawartość zielonych worków przelicza się na



Czesława Solowiej: „Synowie na studiach, więc ja tutaj”. Fot. CAP (Z. Jaśkiewicz)

**R**OZPATRUJĄC tło genetyczne jakiegokolwiek utworu literackiego, sięgamy zwykle do odpowiedniego okresu piśmiennictwa po różne informacje. Na ogół nie ma z tym większych kłopotów, ale jest wyjątek, a mianowicie okres zwany „pseudoklasycyzmem”, czas obejmujący początkowe dziesiątki wieku XIX.

Tu z punktu — szkopił. Istny chaos. Oświecenie, klasycyzm, „pseudoklasycyzm”, klasycyzm „schyłkowy”, preromantyzm, romantyzm tak się ze sobą gmatwają, takie są płynne i tyle między nimi sprzeczności, a także luk, albo pozycji luźnych, że w ogóle brak podstawy do ustalenia najprostszego bodaj kryteriów porządku.

Najgorzej jest z terminem „pseudoklasycyzm”. Już samo to „pseudo” budzi zastrzeżenia, bo jeśli „pseudoklasycyzm” — to pseudoliteratura, a skoro tak, to przedmiot nie-literacki. Nigdy i nigdzie nie brakło rzeczy pseudoliterackich, ale to już jest materia inna, raczej socjologiczna.

Jacy byli ci „pseudoklasyści”? Od bez mała 150 lat mówi się o nich, że niewolniczo naśladowali klasycystów francuskich i „chylac poradzone czoło”, byli niby „plazy w skorupie”. Uważa się ich za „samolubów”, za nudnych starców. Stanowią jakby plamę na honorze naszego piśmiennictwa pięknego. Gdzie przyczynił tej infamii? Jedną z nich jest ta, że mieli zatarg z Mickiewiczem. Jego słowa-pioruny tak ich zdruzgotowały, że dotąd nie mogą wydobyć się spod rumowiska nieszławy.

A już zgola rapsodyczny pogląd na nich ma młodzież szkolna, mniej więcej taki: byli źli, wścizni i starzy pseudoklasyści, ale przyszedł Mickiewicz, ten co to leń urwał hydrze, i rozgromił ich.

Ze się u nas od drugiego dziesiątka XIX wieku bajronizowało, że była germanomania i że duch romantyzmu ogarnął wtemczas młode umysły, to wiadomo, lecz nie wynika z tego, by literatura innego kierunku miała zasługiwać na inwektywę. A słyhać je ciągle jeszcze, że izolacja, tepota, obracanie się w kolebie tych samych szablónów, zabójcza monotonia, zaskorupiałe kopie obcych wzorów etc. Słowem — jest tak, jak byśmy naprawdę mieli do czynienia z quasi-literaturą.

Od czasu do czasu zwraca się im honor, ale z zasady uważani są za rzemieślników, za

stępnie w ekspedycji i rozdziela na poszczególne rejony i oddziały terenowe „Ruchu”. Zmiana liczy dziś 11 kobiet i dwóch mężczyzn, z których jeden kieruje pracą. Worki są ciężkie, tylko kilka kobiet obsługuje transport i załadunek, inne nie nadają się do tej roboty. Na ścianie sali, gdzie rozdziela się prasę, wisi błękitno-żółta akwarelka, przedstawiająca jakiegoś faceta wpatrzonego w Bramę Krakowską w Lublinie:

sołym. Ostre światła lampy rtęciowej zaostrożą rysy twarzy, trzymając w ryzach rozległe podwórko z kioskiem prasowym zamienionym na nocną portiernię, w której nieustannie poblyskuje czerwień papierosa.

— Dalej, dalej — nawołuje Szczepan Mazur, kierownik zmiany, i sam chwytając za pakunki, choć nie musi. — Ale jak patrzę na baby, jak stęka, kaszłą, to co mam robić? Naj-

# RUCH w nocy

Ireneusz J. Kamiński

trzymać ręce w kieszeniach i wyraźnie nie ma ochoty do jakiegokolwiek pracy. Ironia losu!

— Pracuję tu zaledwie rok — mówi Jadwiga Krasicka. — Przedtem prowadziłem kiosk obok „Europy”. Ciężko. W dzień śpiamy, ale wie pan, jak to w dzień — musiały być jakieś bezładna miejscowość, żeby swobodnie wycząpać. Jednej z nas dysk wyleciał niedawno przez to dźwiganie, w krzyżach trzeszczy, ludzie często chorują.

Z rozdzielni worki i pakunki znów trzeba wyłazczyć na zewnątrz, położyć gazety na wydzielonych stanowiskach pod owym plastikowym zadaszeniem w kolorze żółtym, we-

ważniejsze, żeby prasa poszła na czas.

O godzinie dziewiętej ruszają maszyny rotacyjne przy Unickiej, drukujące „Sztandar Ludu”. Już po pół godzinie furgonki odbierają pierwsze 10-15 tysięcy egzemplarzy gazety, powtarzając kurs kilkakrotnie. Pod zadaszeniem rośnie stos zadrukowanego papieru, każdy pakunek „Sztandaru”, zrzucany obok przygotowanej do wysyłki prasy centralnej, zawiera 230 gazet o objętości ośmiu stron każda. Dzisiejszy nakład wyniesie ponad ćwierć miliona egzemplarzy, z czego ok. 199 tysięcy powędruje w teren.

W sumie Szczepan Mazur i jego zmiana wyeksponują tej nocy ok. 350 tys. różnych gazet i czasopism, mając do dyspozycji 9 samochodów, z czego dwa służą do transportu w samym Lublinie. Zresztą „Zuki” nie są najlepiej przystosowane do przewozu prasy, od pewnego czasu rozważa się w „Ruchu” możliwość uzyskania samochodów specjalnych. Tymczasem jednak nakłady prasy rosną, a liczba i jakość wozów transportowych pozostawia sporo do życzenia. W tej chwili wszystko zależy od dobrej organizacji pracy w przedsiębiorstwie i od sprawności ludzi.

— Zepsuła się — informuje młody mężczyzna, wskazując na furgonetkę, która wróciła z drukarni i od kilkunastu minut jest przedmiotem fachowej uwagi innych kierowców.

— No to, bracie, jedź na bazę, dawaj wóz! — odpowiada Mazur. — Bo leżymy na obie łopatki, bracie! Człowieku kochany, daj spokój... Rusza się, jak drewniany...

Na stanowisko podejżdża „Zuk” LW 62-11. Kobiety ustawiają się w rzędzie; po 10 minutach samochód ciężko siada na kołach, wypełniony „Sztandarem”, „Przyjaciółką”, „Filmem”, „Rolnikiem Lubelskim”, „Magazynem Pomorza — Fakty i Myśli” i „Kamieną”, której dalszych 8 tysięcy egzemplarzy oczekuje na transport w innych kierunkach. Zagadują jedną z kobiet.

— Oj, mnie nie trzeba, nie chce, nie chce, od tego kierownik jest! —



Szczepan Mazur: „Nie było tak, żeby prasa nie poszła...” Fot. CAP (Z. Jaśkiewicz)

odchodzi pośpiesznie; — starsza, po pięćdziesiątce.

Jest godzina 0.30: pierwszy wóz wyrusza na trasę, do Bełżyc, Opola, Pulaw, Zyrzyna. W tej ostatniej miejscowości spotka się z samochodem warszawskim, z którego weźmie niedzielne wydanie „Trybuny Ludu” i „Życia Warszawy”, przywożąc je do Lublina. Dzięki tej sztuczce czytelnik lubelski otrzymuje prasę aktualną, o stoletniej zawartości; kilka lat temu gazetowy serwis informacyjny, wypełniający te dzienniki, był o dzień opóźniony. Kierowca, Marian Tokarski, skończy pracę o ósmej rano. Średniego wzrostu, krępy, o ustach wąskich, kryjących białe zęby, przybrany w beczek — w służbie „Ruchu” jest już 24 lata, czyli więcej, niż połowę życia.

— Mnie się wydaje, że tu, na starych śmieciach, najlepiej — odpowiada ze śmiechem.

Dzisiaj, tzn. w sobotę, o drugiej w nocy pojechał do Zyrzyna jeszcze jeden wóz; w inne dni tygodnia wystarcza jeden kurs.

Nie wszystkie prasy centralne przechodzą przez ekspedycję lubelską, część dociera bezpośrednio koleją z Warszawy do Chełma, Zamościa, Bilgoraja, Hrubieszowa i niektórych innych miast powiatowych. Nie zawsze też kursuje tyle samochodów, na przykład w niedzielę, kiedy dowoził się „Kurier Lubelski”, jeden wóz obsługuje cały północny rejon województwa. W powszechną noc ruch panuje na pięciu trasach: Bełżyc—Opole—Pulawy—Zyrzyna; Kraśnik—Janów—Bilgoraj; Kraśnostaw—Zamość—Tomaszów; Parzew—Julia Podi—Miedzyrzec; Lubartów—Radzyń—Luków.

Godzina 1.40: połowa prasy zniknęła spod zadaszenia. Do odjazdu szykuje się LW 74-09. Za kierownicą Jan Rapaj, który jedzie na trasę krańcicą. Pracę zaczął o pierwszej, skończył ok. ósmej rano. Jak i pozostali kierowcy, jest jednocześnie konwojentem, za co otrzymuje 500-złotywy dodatek. Cały miesiąc jeździ nocami, w niedzielę także. W domu pojawia się po dziesiątej rano.

Godzina druga: Stanisława Król weiska sprzęgi swojego „Zuka” 57-49 LL, który steruje w kierunku Chełma. Na miejscu będzie ok. piątej. Wysoka, mocno zbudowana,

w szarej kurcie na ramionach. Matka czworga dzieci.

— Ze w nocy? A czego to się bać?! Kto na mnie poleci?

Kobiety ustawiają się przy kolejnym samochodzie: tym samym jednostajnym ruchem podają sobie paczki, których zawartość ma zbliżyć ludzi do świata, służyć pomocą w zrozumieniu jego pogmatwanych spraw, zabawić, pozwolić na zapomnienie o szarej codzienności.

— Ile lat pani tu pracuje? — po raz drugi pytam pracowniczkę, która godzinę temu uniknęła rozmowy.

— Ja nie od tego, ja nie upoważniona... Jak się pan już tak pyta, to powiem: jedenasty rok pracuję, mam 52 lata, cały czas nocą pracuję, bo takie mam warunki. Mąż od 9 lat jest na rencie, która niska, bo na niskich poborach poszedł. Jeden syn studiuje elektronikę na Politechnice Gdańskiej, drugi też chciał się uczyć, to i jest na pierwszym roku Wyższej Szkoły Inżynierskiej.

— Wygodniej pani pracować w nocy?

— Takie warunki. Nocne dochodzi. Mam 1760 zł zasadniczej pługi ten nocny dodatek, to na rękę gdzieś 2100, no, do ręki tego nie biorę, bo spłacam kilkadziesiąt złotych pożyczki, którą zawsze biorę. Jakiego okrycia trzeba kupić.

— A jak pani zdrowie? Machnęła dłoń, szybko odchodząc do samochodu, który przygotowywano do wyjazdu na trasę lukowską.

— Każdą mądra za oczami, ale jak ktoś przyjdzie z zewnątrz, to wszystkie ładnie, pięknie, tralala, tralala — ironicznie śmieje się kobieta o niezwykłe harmonijnych, pięknych rysach twarzy. — A pokątnie stęka, że aż strach na nie patrzeć. Usiadzie później i kwiczy, bo się narobiła.

— No dobrze, dobrze — ostro ucinia matka studentów. — Szykuj pani pocztę.

Dokończenie na str. 8

schyłkowców, za ludzi „mroku” — i w książkach szkolnych nadal grasuje stary dziwolak w postaci „pseudoklasycyzmu”. Jednocześnie pomija się prawdę, że to właśnie owi „zaskorupiali izolacjoniści” ukazywali w mroku niewoli dawną świetność Kraju — dla pokrzepienia serc narodowych. I tu paradoks: Henryk Sienkiewicz, który był kontynuATOREM tej idei, chwalaony jest za nią unisono, a jej pierwszym chorążym odbiera się tytuł do chwały, bo pseudo, bo mrok, schyłek, izolacja itp. Zdumiewające jest również

wątpliwości aż się mrowi. Wypada więc przedświecić te sprawy, pójsć tropami faktów i uporządkować je ze szczególnym uwzględnieniem pozycji spornych.

Zaczniemy od dramatu. Otóż dramat nasz — recte: klasycystyczny, po nikłych pierwocinach, od około roku 1750 rozwijał się powoli, ale coraz bujniej, aż osiągnął szczyt rozwoju w drugim dziesiątku XIX wieku, to jest w latach „pseudoklasycyzmu”. I tak: na początku było naśladowanie wzorów obcych, ale nie brakło wartości rodzimych,

Zmianami miejsca akcji wyróżnił się też „Gliński” Fr. Wężyka. A przyjęto go z entuzjazmem. W „Gazecie Koronnej Warszawskiej” napisał recenzent Wojciech Pękalski (13.III.1810): Publiczność liczenie w tym dniu zgromadzona przyjęła sztukę najwyzszymi oklaskami. Wiele miejsc pięknych, wiele wyrazów i wierszy dały pobudkę do częstego ponawiania oklasków. Po ukończonej sztuce domagano się z największą usilnością o wymienienie autora, którym jest Franciszek Wężyk. Tu powstały nowe i żywsze od poprzednich oklaski. Jest to pierwsza tragedia oryginalna z dzieł ojczystych zrobiona, która tak powszechną zaletę zyskała w całej polszczyźnie. Entuzjazm był rzeczywiście wielki. Nawet wiersz napisano na cześć autora („Nowy Kornel”). Za granicą uznano „Glińskiego” za arcydzieło, opublikowano go też po francusku w „Chefs-d'oeuvre du Théâtre étrangers”, a potem w tomie „Chefs-d'oeuvre des Théâtres Polonais” wespół z przekładami „Barbary Radziwiłłówny” Felińskiego, „Wandy” Niemcewicza i in. (Paryż 1823). Powodzenie i uznanie zdobywa również tragedia A. Hoffmana pt. „Bolesław Śmiały” (1815), o czym mowa w „Gazecie Kor. Warszawskiej” 14.III.1815. Podobała się też „Ludgarda” L. Kropińskiego (1816). Grano ją w Warszawie, Lwowie i Krakowie. Przetłumaczona na niemiecki, wywołała wątpliwości, czy aby „spełnia wszystkie warunki tragedii wzorowej” („Blätter für literarische Unterhaltung”, 1830, Nr 313). A więc znów było wykreowanie przeciwko boalizmowi.

Wreszcie — „Barbara Radziwiłłówna” Felińskiego, napisana w roku 1811 i wystawiona pierwszy raz w r. 1817. Żadna tragedia nie ściągnęła dotąd takich tłumów na widowienie. A i dziś jeszcze, choć czasy inne, gra się „Barbarę” z powodzeniem. Co znać, skrypta classicus, semper assiduus! Promieniowała „Barbara” nie tylko w kraju, ale i za granicą. Niemiecki jej tłumacz J. Orion napisał w przedmowie do niej: Oby ta straszliwa moce we właściwym miejscu i póki jeszcze czas została zrozumiana.

Dokończenie na str. 4-5

## „Pseudoklasycyzm” czy klasycyzm?

Eugeniusz Gołębiowski

bagatelizowanie oczywistej prawdy, że nie kto inny jak tylko „pseudoklasyści” byli twórcami naszego dramatu, na co zresztą dawno już wskazywał Juliusz Kleiner<sup>1</sup>.

Następczą się też inne wątpliwości, zastrzeżenia i pytania, m. in. takie: jak to było z realizmem klasycznym a jak z romantyzmem? Kim był Fredro? romantykiem? klasycystą? realistą? schyłkowcem? Dlaczego lokuje się go w podręcznikach katem gdzieś na peryferiach romantyzmu? Kim byli J. U. Niemcewic, Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, F. Bernatowicz, A. Maltewski tworzący w okresie „pseudoklasycyzmu”? Czy wtedy istniał jeszcze jakiś klasycyzm... normalny? Jakże są historyczne dowody na to, że dramaty Tekli Lubieńskiej, Fr. Wężyka, L. Kropińskiego i A. Hoffmana minęły bez wrażeń widzów? Co sędzić o przekładach i adaptacjach scenicznych L. Osińskiego? Od

zwłaszcza w polonizacji obcych tematów, miejsc czy osób. Z czasem doszły znamiona oryginalności, np. u St. Kofarskiego, W. Rzewuskiego, J. U. Niemcewicza i in. Od końca wieku XVII przybywa nam coraz więcej dramatów, a niektóre z nich mają u szerokiej publiczności duże powodzenie. Tak było z „Wandą” (1807) Tekli Lubieńskiej. Powtarzano rzecz „na powszechne żądania”, grał ją Bogusławski w Warszawie i Poznaniu. Dzieło to w sposób stosowny do okoliczności, podnoszące ojczystego ducha, przyjęte było z zapalem, który uniósł do wolania w kilku miejscach o powtórzenie — napisano w „Gazecie Warszawskiej” 21 kwietnia 1807. Równie ważne jest to, że w dramacie tym autorka świadomie złamała zasadę trzech jedności. Akty I, II i IV dzieją się „na pokojach królowej”, Akt III — w sali „radnej”, a V w „obozie pod Krakowem”.

Kamena str. 3



# ŻYCIE TEATREM

Mirosław Derecki

**Z**NA pan, redaktorze, Kaziu Łojana? — Ba! Zakładaliśmy kiedyś razem w Lublinie kabaret „Czart”. Stare dzieje... Potem pisał teksty Grzeszkowiakowi, robił audycje satyryczne w Polskim Radiu, ostatnio wyjechał, jest kierownikiem literackim poznańskiej „Estrady”.

— No właśnie — powiada profesor Galecki. — Zawsze wierzyłem, że on kiedyś dobieje się swego... To jest człowiek, który ma estradę we krwi... Wiedziałem to jeszcze dwadzieścia lat temu, kiedy pracowałem razem w lubelskim Studenckim Teatrze Satyryków. Pamięta pan te czasy? Wczesne lata pięćdziesiąte. Długo przed „Czartem” i przed „Sexem”. Kupa ciekawych ludzi rozjechała się od tego czasu po świecie. Zbyszak Stawecki pisze teksty dla Ireny Santor. Andrzej Malinowski dziennikarzuje gdzieś na Wybrzeżu. Tadek Klak wyklada na wyższej uczelni na Śląsku. Mariusz Czarniecki, nasz główny kompozytor i akompaniator, działa w Szczecinie. Staszku Wermeczukowi lubelski teatr wystawia sztukę o Koperniku. No a ja piętnaście lat temu z okładem zaszyłem się tutaj, w Białej Podlaskiej, i wbijam młodzieży do głowy miłość do Mickiewicza i Słowackiego. W sumie — też uważam, że znalazłem sobie właściwe miejsce w życiu.

— Ale z pasją do teatru pan nie zrezygnował. W ciągu ostatnich trzynastu lat szesnaście premier w prowadzonym przez pana teatrze szkolnym, to ewenement na skalę krajową... Chwałą pana. Od powiatu po ministerstwo.

— Cóż, jak już mowa o chwalebnym to i ja się pochwalę: o naszym szkolnym teatrze „Zak” przy Tech-

nikum Ekonomicznym, napisano nawet pracę magisterską. Ale o tym może trochę później. Teraz chciałbym wrócić jeszcze na chwilę do Studenckiego Teatru Satyryków. Bo z niego wywodzi się właśnie moja — jak to pan ładnie określił — pasja do teatru... To był ciekawy okres mojego życia. W ogóle ciekawy okres w lubelskim ruchu studenckim. Spotkałem się niedawno przypadkowo z Kazikiem Łojanem i wspólnie biadałymi, że nie oprócz wspomnień nie pozostało z tamtego STS-u: ani jeden tekst, ani jeden afisz. Szkoda. Grywałem wtedy w sali obecnego „Relaksu” albo w Domu Oficera. Kazik był kierownikiem całego tego interesu, ja — dyrektorem administracyjnym. Rozjeżdżaliśmy się po Polsce w poszukiwaniu tekstów — trafialiśmy do „Bim-Bornu”, do STS-u warszawskiego. Z tekstami estradowymi nigdy nie było w Lublinie najlepiej. Cisnęła nas w tych czasach studencka bieda. Pamięta pan? Konina na obiad i na deser, na grzbiecie „unrowski” płaszcz, na nogach gumłaki... Ale żyło się wesoło.

— Jednak wyjechał pan na prowincję...

— Takie zawsze były moje plany życiowe. Widzi pan, jeżeli teatr jest moją pasją, to uważam, że moim powołaniem jest praca nauczycielska. Ja siedłem ze swojej wioski — zresztą pierwszy wówczas — na studia polonistyczne z konkretnym zamiarem zostania nauczycielem i powrotu w rodzinne strony. I tak się stało. Udział w studenckim ruchu artystycznym był dla mnie początkowo tylko przygodny. Dopiero znacznie później zrozumiałem, że zdobyte tam doświadczenia mogą mi się przydać w pracy pedagogicznej. Zakładałem w szkole koło dramatyczne z myślą o ucieczce od szarzyzny

prowinnej, od nudy, od codzienności. No i dlatego, że w miejscowym społeczeństwie czuło się zapotrzebowanie na stworzenie zespołu dramatycznego. Nie jestem tutaj obcy — maturę robiłem właśnie w Białej Podlaskiej, w gimnazjum im. Krzeszowskiego — znam środowisko. We wczesnych latach powojennych działał tutaj amatorski Teatr Ziemi Podlaskiej pod kierownictwem Tadeusza Kwaśniewskiego. Jako uczeń oglądałem w ich wykonaniu „Wesele”, „Chłastę za wsią”, „Krakowiaków i górali”. Potem ten stary zespół rozpadł się i dopiero kiedy ja wróciłem ze studiów...

Reporter zawieszając na chwilę rozmowę, sięga po grubą, czerwona książkę pełną wpisów, dokumentów i fotografii, z wycieczonym na okładce złotym napisem: „Kronika Szkolnego Zespołu Teatralnego „Zak” Technikum Ekonomicznego w Białej Podlaskiej”. Oto pierwszy wpis: Jesienią 1960 r. mgr Jan Galecki przyniósł na zajęcia kilka literackich dramatów Jerzego Zawlejskiego. Czytaliśmy wybrane sztuki tego autora, m. in. „Niezwycięzonego Heraklesa”. Byliśmy skupieni, oczarowani słowem, wzruszeni tragedią Heraklesa. Weszliśmy w krąg spraw dawnych... Los bohatera stał się nam bliski. W tym odległym świecie dokonywało się coś bardzo ludzkiego, niezniszczalnego. Miłość, zazdrość, nienawiść... „Piękne jest życie, o którym mówi się — „zwykle”. Nie ma niezwykłych i nie ma zwycięstwa bez kresu”. W tej pieśni żalobnej drżała chwala i triumf Heraklesa... Ktoś powiedział wówczas: „a gdybyśmy to odczytali na lekcji?” — inni już wdziali tę sztukę na scenie. Pan Galecki obiecał nam pomóc. Tak powstał zespół teatralny. Zrodziła go chęć przeżycia czegoś pięknego. Chcieliśmy doznać tych emocji, których uzyskanie poprzez samą tylko literaturę czy doraźne obcowanie z dziełami sztuki byłoby niemożliwe. Rozpoczęła się „zabawa w teatr” — poznawanie sztuki scenicznej; możliwa praca pasjonowała wszystkich, wyzwała inicjatywę. Studiowaliśmy kulturę starożytną Grecji, ćwiczyliśmy dykcję i gest sceniczny, rodziły się projekty dekoracji i kostiumów. W kościele nagrywalimy na taśmę magnetofonową — muzykę organową...

Napisali też list do Zawlejskiego. Pisarz podszedł do całej sprawy poważnie: Czy to nie za trudne? — zastanawiał się w liście do Galeckiego. Czy młodzież da temu radę? Jeżeli jednak młodzieży to się podoba i ma w tym kierunku zapal, należy ryzykować. Czasami przedstawienia tego typu są bardzo interesujące. Proszę o dalsze wiadomości w tej sprawie...

Inny wpis do kroniki: fragment pracy magisterskiej Kunegundy Włostowskiej, absolwentki Wydziału Pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego, dawnej uczennicy profesora Galeckiego, obecnej nauczycielki Technikum Ekonomicznego —

Praca w teatrze szkolnym w dużym stopniu przyczyniła się do pobudzenia moich zainteresowań szczególnie utworami poetyckimi, nauczyła mnie rozumieć myśli autora, rozszerzyła wiadomości z tej dziedziny. Jednocześnie praca nad rolą w utworach scenicznych obok tego, że budziła zainteresowanie twórczością dramatyczną, pisarzy polskich i obcych, pobudzała zaciekawienie samym teatrem i pracą aktora. (...) Kiedy zostałam nauczycielką w tej szkole, postanowiłam by uczniowie spełniali choć w części te zadania, jakie były moim udziałem w szkolnym zespole teatralnym. Swoją pracę Włostowska zatytułowała: Motywy udziału uczniów w zespole teatralnym „Zak” przy Technikum Ekonomicznym w Białej Podlaskiej w latach 1960—1970.

— Lata leca, redaktorze, — podejmuje rozmowę Galecki. — Czterdzieścia ledwie człowiekowi stuknęła, a tu nagle okazuje się, że dawne uczennice stały się moimi kolegami po fachu i to w tej samej szkole. Cieszyć się czy smuć? Ale wracajmy do naszych spraw... No więc to co pan czytał w kronice, to jest jedna strona medalu; co daje uczniowi praca w zespole teatralnym? A co daje ona mnie? Otóż nie tylko ucieczkę od codzienności, otóż nie tylko zaspokojenie „ciągot” teatralnych, jak sądziłem początkowo. Przede wszystkim pracując na scenie wchodzę lepiej w społeczność uczniowską. Gdzieś się zaciera zwykły kontakt pomiędzy nauczycielem a uczniem na zasadzie: katedra — lawka. Przy pracy nad tekstem, w swobodnej dyskusji, poznaje lepiej osobowość moich wychowanków. Tutaj ja już nie jestem nauczycielem; oni na każdej próbie egzaminują mnie z mojej wiedzy o teatrze, o literaturze. I ja muszę temu sprostać aby nie stracić ich zaufania. Więc robię kursy reżyserów teatrów niezawodowych, śledzę nowinki teatralne, ślęczę nad literaturą fachową. Inaczej mówiąc

— bezustannie sam siebie sprawdzam i doskonalam.

Przez szereg lat ograniczaliśmy się na naszej scenie do działalności, którą określiłbym mianem „tradycyjnej”. Do zabawy w teatr. Kopiałaliśmy w jakimś tam sposobie teatr zawodowy: „Balladyna”, „Intryga i miłość”, „Moralność pani Dulskiej”, „Śluby panieńskie”. Ale to już dzisiaj ani młodzieży ani mnie nie wystarcza. Oni po prostu nie odczuwają potrzeby „grania w sztukach”, „przedstawiania”. Dzięki telewizji, radio, częstym wypadom do teatru zawodowego, poczuli nieufność wobec własnych, tradycyjnie pojmowanych poczynań teatralnych. Widzą i rozumieją że zawodowcy robią to lepiej od nich.

— A więc szykuje się upadek pańskiego teatru...

— Wręcz przeciwnie! Dalszy, dynamiczny rozwój. Tylko w innej formie. Ich teraz interesuje teatr poezji, teatr faktu, teatr publicystyki. Taki, w którym dochodzi do głosu element współautorski. Gdzie się nie odzwierciedla, ale tworzy... To już zupełnie inna młodzież niż my przed dwadzieścia, trzydzieści laty. Oni może jeszcze nie zdają sobie w pełni sprawy z tego, że dzięki ogromnemu rozwojowi masowych środków przekazu świat i jego problemy zbliżają się do nich z niezwykłą szybkością. Ale czują to. Dlatego poszukują takich środków wyrazu, które dają im możliwość bogatszego, pełniejszego ukształtowania własnej osobowości.

— Czego dzisiejsza szkoła nie potrafi im jednak jeszcze zapewnić...

— Ale to jest temat stale podejmowany przez pedagogów: że idealnym byłoby, aby ze szkoły wychodziła młodzież nie tylko z określonym zasobem wiedzy, ale również uświadomiona na sprawy sztuki, problemy społeczne i polityczne, młodzież o ukształtowanych postawach życiowych. I tutaj widzę jakąś rolę naszych konkretyzujących się poczynań teatralnych. Szkolny teatr sięgający do publicystyki, wydobyczący i komentujący fakty



Dokończenie ze str. 3

Było to pisane 10 V 1831 r. — w czasie wojny powstańczej w Polsce, i brzmiało jak wołanie o pomoc. Znaczenie polityczne „Barbary” zrozumieli cenzorzy carscy o wiele wcześniej — i zdjęli ją z afisza już w roku 1821, o czym dowiadujemy się od tegoż Oriona. Potwierdzają tę wiadomość spisy repertuarowe teatru warszawskiego. W latach 1817—1821 grano „Barbarę” na scenie warszawskiej rokrocznie, ale w roku 1821 znikła z repertuaru, a wznowiono ją, jak to zapisał Orion, po dniach październikowych 1830 r. ku nieopisanemu radości widzów.

Do dramaturgii oryginalnej doszły liczne przekłady i adaptacje sceniczne, w których celował jeden z najbardziej sponiewieranych „pseudoklasyców” — Ludwik Osiński, dyrektor teatru warszawskiego (1814—1830), profesor Uniwersytetu Warszawskiego (1818—1830) i redaktor „Pamiętnika Warszawskiego” (1809—1810). Jego prace budziły ogromny zapal w ówczesnej publiczności. Tak było np. na przedstawieniu „Horacjusz”. Ówczesne gazety i „Pamiętnik Warszawski” świadczy, że jakim zapalem publiczność przyjęła tłumaczenie tragedii Horacjusza (...) Teatr brzmiał nieustannie okłaskami; publiczność po raz pierwszy słyszała tak piękne wiersze, tak wzniosłe myśli i nieznaną jej dotąd wyższą, szlachetny styl dramatyczny. Nie tylko wywołano tłumacza, lecz przejęci zapalem widzowie, na rękach podnieśli go wśród krzyków uwielbienia. O ileż uboższa byłaby nasza kultura teatralna tamtych czasów bez Osińskiego.

A komedia? Rozwijała się podobnie jak dramat, od naśladowstwa poprzez polonizację obcych tekstów do tworów oryginalnych. Bohomolec pisze zrazu w duchu konwiktowym i jest ślepym naśladowcą Moliere’a, ale od roku 1766 komedia jego polonizuje się. Górują w niej realia i aktualia polityczne i społeczne. Komedia jego następców, tj. Fr. Zabłockiego, W. Bogusławskiego, J. U. Niemcewicza i in. są już w pełni spolonizowane. Nie z Francuzów czy Niemców śmieje się publiczność, lecz z rodzimych wsteczników, pseudosarmatów, szarmanekich fireyków i

dam modnych. Przejawy oryginalności są coraz to wyraźniejsze, np. u Niemcewicza. Aż w roku 1818 powstaje pierwsza polska w pełni oryginalna komedia: „Pap Geldhab” Aleksandra Fredry, a po niej następują tegoż: „Zręczność i przekora”, „Mąż i żona”, „Śluby panieńskie”, „Zemsta” (1833), że wymienimy tylko najważniejsze komedie Fredry, powstałe w jego okresie klasycystycznym. A więc znów to samo zjawisko: rozkwit naszego komediopisarstwa przypada na czas „pseudoklasycyzmu”.

## „Pseudoklasycyzm” czy klasycyzm?

A epika klasycystyczna? Tu — tytuły: „Myszka” (1775) i „Monachomachia” (1778) Krasieckiego, „Zofiówka” (1806) Trembeckiego, „Grażyna” (1822) Mickiewicza, „Maria” (1825) A. Malczewskiego (w mierze hipotetycznej), dalej; „Ziemianstwo polskie” — poemat w czterech pieśniach Kajetana Koźmiana... ale tu trudność. Bez wyvodu ani ruz, bo nowe nieporozumienie. Los prześladował tę księgę od jej początku. Zaczęto ją drukować w Puławach w roku 1830, ale złożono tylko dwie pieśni, więcej nie wyszło, bo okoliczności w końcu roku 1830 wytknęły, nie tylko przerwały dalszy postęp druku, lecz nawet w powszechnym zamieszaniu dwie już wydrukowane pieśni i sam oryginalny rękopis zaginęły. Po jakimś czasie rękopis odnaleziono, ale dzieło ukazało się dopiero w roku 1839 — i to we Wrocławiu, wydane przez E. Raczyńskiego nakładem Z. Schlettera. Czemu aż tam? Nie trudno się domyślić, nazbyt wyraźne były w poemacie aluzje patriotyczne, np. do Rasyna czy Maciejowic (Pieśń IV, w. 859). A potem? Popadła rzecz w

„pseudoklasycyzm”, a jej autora dotąd zalicza się do tych, co to zajmowali postawę bierną, zachowawczą wobec zagadnień związanych z życiem społecznym i gospodarczym.

— Ale tu znów wątpliwość. Czy rzeczywiście tak było? Poczytajmy fragmenty „Ziemianstwa”:

...nigdy w naszym nie zaszędzisz gronie,  
Przechwalco dawnych czasów, chwy Harpagonie,  
Coś umiał z lichej wioski trzos napełnić złotem,  
Kiedy głodny twój rolnik umierał pod piotem;

(Pieśń IV, w.w. 120—123)

Niech tylko cudza owca uszczknie twój trawę,  
Jakby szła rzecz o gardło, pozyczasz do sprawy;  
Po upadku spod sierpa i gnijące kłosa!

Nie schyli się bezkarnie niezdarsz twój wioski.  
Na ścieżkach też do ciebie porosły już głogi,  
Komu życie nieźle niech twe zwiedza drogi.  
Przećnia cię od świata twój żagón jałowy,  
A stręga ostrokoły i zdradliwe rowy,  
By ich nie przebył zebrał taknący jałmużny,  
Albo z towarem kasegarz nie wdzi się podróżny.  
Zaledwie cię wiesć doszła, że gdzieś w okolicy  
Wziósł kto szkołę, i do niej cisną się rolnicy —  
Już truchlejsi i groźne wydajesz zakazy —  
Radnyś chłopski mur podnieś od takiej zarazy.

(Pieśń IV w.w. 137—150)

Jest i oskarżenie niepoctiwych kapłanów:

Wiedziałem i rolnika spokojne konanie,  
Jak krzywy swe przebaczał i przeproszał za nie.  
A kiedy pomrok ciemny na oczy mu padal,  
Usłniech pierwszy raz usta ziębnące osiadał.  
I zdało mu się widzieć, że anioł pochlepy  
Z pałną męczętną z niebios spuszczał się do strzechy.

Niestety! w twardej pracy strawił długie życie  
I nie zarobił nażim członkiem na okrycie.  
Wśród skrzyżującego wzru porzucane zwłoki  
Te same wdy ciągną powalnymi krokami,  
Które z nim plug za życia ciągnęły pospolito,

A kapłan mu szczerpugo śmiał odmówić dotu?  
Odmawiał garści ziemi, aż nowym haraczem  
Zalozna ją rodzina okupia z płaczem.

(Pieśń IV, w.w. 319—332)

I kuriozum: przemysł, jego potęga i bogactwo skontrastowane z nędzą robotnika:

Indziej ukryty płomień w podziemne sklepienia  
Kipięcy męt na kadziach w lotną parę zmienna.  
Ta po kręgoty kruszczy stygnąc ciśnieniem,  
Staje się painą cieczą i strumieniem płynie.  
Wspomnę ten długi szereg usztywnych narzędzi,  
Którymi jedna ręka pracę stu rąk szczeni,  
Gdzie na obrót kół, wałków i ślonej cerwy  
Pryska ziarno i lekko wyskakują plewy.  
Spójrzęż na te budowy z różnobarwnym szczytem,  
Na ściany utracone gładem i granitem,  
Nie szczenię ci pochwał, bo sam jestem świadkiem,  
Co przemysł może z pracą, rachuba z dostatkami.  
Spieszę wiosę twą oglądać, i widzę w hoteli  
Kształtne wzory z Tiwoli, Fraskati, Pompei.  
Spierają się i kunsztów i smaku zalety,  
Baszty Maurów, świątynie, wieże, meczety.  
Wszędzie pozor zachwyca, acz nie bez obawy,  
Czy ujrzę tyle szczęścia, ile jest wystawy?  
Niestety! Cóż postrzegam u pierwszego progut  
Pracę spoczywającą na łychem barłogu,  
Nagą nędzę, głód biały i wiek już na schyłku  
Wyschła ręka żebrać wsparcia i posiłku.  
Ach! Wiem już że niedoli źródło i przyczyna:  
Zabrałeś sobie wszystkie ich życia godziny.  
Nie raz w skwarze południa omdlaływ od żnoju  
Wzbraniałeś ust spleczonych zwłazyw w bliskim  
drojo.

Dni, nocy bez wytchnienia, pod groźnymi cioty,  
Gdy ich kłos śniegu czekał, twoje żeli kłoty,  
Lub dźwigali ciężary na twoje ozdoby,  
By w zamian chat, zamieszkać węglenia i groby.  
Ach! Wróć te lepiankę z gliny i szczyty ze słomy,  
A na ich pot i trudny nie bądź tak lakomy.

(Pieśń IV, w.w. 179—210)

Wie też Koźmian, jak wychowywać młodzież:

Dziś, kiedy moja wioskę odwiedzić się godzi,  
Gromadzę koło siebie orszak wiejskiej młodzi —  
I te im nieustannie powtarzam przestrogi:  
Porzućcie dzikich ojców wady i nalogi.  
Kochajcie pracę.

(Pieśń III, w.w. 334—338)

Dochodzą sentencje i prognozy:

Miernosć dobrem najpierwszem, zależa swoboda,  
Ze złota łańcuch ulgi więzielnym nie doda  
Ani ściany z marmuru, ani szczyt pod śpią,  
Podniosą się lepianki, gdy się gmachy zniża.

(Pieśń IV, w.w. 113—118)

W szczerpym naszym królestwie przed zebraną władzą  
Wielkie ministry ścisła sprawę z czynów zdadał,  
I z takowego sejmu bez sporów, bez wrzawy  
Wyjdą godne krajowej świątyni ustawy.

Nie dziwnego, że „Ziemianstwo” znalazło się w lamusie. Nie mogło się podobać ziemianstwu. Wielkie ministry? Też pomysli!



wybrane przez samą młodzież z otaczającego ją świata daje poza samą umiejętnością rozumienia języka teatru — możliwość pogłębienia wiadomości z dziedzin pozateatralnych, pozwala na wykształcenie się pewnych postaw moralnych i społecznych.

Ja wychowywałem się w domu, gdzie właściwie jedyną książką była książka do nabożeństwa. Dzisiaj młodzież z mojej rodzinnej wsi ma dostęp do iluś tam telewizorów, nie mówiąc już o tranzystorach, biblioteczce, codziennej porcji — czasopiśmie. Ale ja i tak byłem w dobrej sytuacji. Na drugim końcu wsi mieszkał mój dziadek, który jeszcze przed pierwszą wojną światową prenumerował „Tygodnik Ilustrowany”, a na półkach w jego chacie stały książki Sienkiewicza, Kraszewskiego, Orzeszkowej. Były to jak na chłopca w owych czasach zainteresowania raczej bardzo rzadko spotykane. Dziadek te swoje zainteresowania do literatury zawdzięczał administratorowi lasów hrabiego Potockiego z Międzyrzecza, Witoldowi Prackiemu, człowiekowi z gatunku Judymów, który postawił sobie za cel życiowy podniesienie kultury wśród okolicznych rolników. Dziadek mówił piękną polszczyzną, znał na pamięć całe stronicy z posiadanych przez siebie książek, umiał wspaniale opowiadać i to właśnie on spowodował moje zainteresowanie literaturą i pośrednio przyczynił się do tego, że wybrałem się na studia polonistyczne. Jak na swoje środowisko i na swoje czasy dziadek był człowiekiem światłym. Był owładnięty żądzą poznania i tę właściwość potrafił zaszczyć również i w moim umyśle. Ale dzisiejszej młodzieży nie wystarcza już tylko proces samego poznawania. Ona stara się zrozumieć przyczyny, mechanizmy i skutki spraw, jakie poznaje.

Pyta pan, co poczytuję sobie za największy dotychczasowy sukces życiowy? — Ja, polonista i nauczyciel z wyboru, mógłbym odpowiedzieć, że fakt, iż trzech moich uczniów, po uzyskaniu matury, poszło na polonistykę. Jednak o wiele bardziej dumny jestem z tego, że nasz zespół teatralny dwukrotnie otrzymał nagrodę ministra Kultury i Sztuki w konkursie „Więś bliżej teatru”. I była to nagroda nie za przygotowanie efektownego przedstawienia, ale za wielomiesięczną akcją upowszechniania kultury teatralnej na wsi — organizowanie grupowych wyjazdów na przedstawienia lubelskiego teatru im. Osterwy, aranżowanie dyskusji po obejrzeniu sztuki, tworzenie kół miłośników Teatru Telewizji.

— A ja gratuluję panu jeszcze jednego sukcesu: niedawnej nagrody ministra Oświaty i Wychowania — „Za wybitne osiągnięcia w pracy dydaktycznej i wychowawczej”.

Mirosław Derecki

# Kopernik w oczach dzieci



Halina Stańko kl. VIII Szkoła nr 6 „Kopernik” (naucz. A. Drygalla)

Maciej Wjatkowski kl. V b Szkoła nr 18 „Kopernik broni Olsztyna” (naucz. D. Góra)

Fot. CAF (Z. Jaszkiewicz)



Paweł Skarżyński kl. I VII LO „Kopernik” (naucz. H. Wielopolska)

Zbigniew Dworniczuk kl. VIII Szkoła nr 29 „Dyskusja z uczonymi” (naucz. K. Szurawski)

Krag naszej epiki klasycystycznej zamyka szczyt jej najwyższy: „Pan Tadeusz” (1834). A więc znów progres.

Z kolei liryka: spośród wierszy lirycznych oświeceniści wyróżniają się żywiłowe, rewolucyjne utwory Jakuba Jasińskiego: „O stałości...”, „Wiersz w czasie obchodzonej żałoby...”, „Do narodu” (ok. 1793—1794) oraz pieśń narodowa Józefa Wybickiego: „Jeszcze Polska...” (1797). I tu rzecz ważna: nie ma nic, co by wskazywało na to, że ówczesna nasza poezja zmierzała ku jakiemś „schyłkowi”, przeciwnie — rozwijała się nadal (Godebski, Tymowski), a nawet poszerzała swoją tematykę. Dowodem znakomita „Oda na cześć Kopernika” (1808), którą napisał oświatowy „pseudoklasyk” Ludwik Osiński. Oda to nie było jaka, bije z niej niezwykły dynamizm poetycki, obrazowanie na miarę kosmosu i pochwała ludzkiego rozumu. Latwo pojąć, dlaczego echo jej zabrzmiało w „Wielkiej improwizacji”. Mocne są też ody Koźmiana: „Oda... na zawieszenie orłów francuskich w Lublinie” oraz „Oda na zawarcie pokoju” (obie z r. 1809). A nie były to jakieś pseudody, jakieś robotki schyłkowe. Pisane pięknym językiem, bardzo się podobały i zjednały autorowi od razu rozgłos i reputację wielkiego poety. Dalej: od r. 1814 zaczyna się liryka patriotyczna A. Fredry. Przepłatają ją wiersze miłosne i refleksyjne — a najcenniejszy z nich to „Ulomek listu...” (powstały w roku 1823, lecz, niestety, opublikowany w wiele lat później). Dalej: w roku 1816 Niemcewicz ogłasza swoje „Śpiewy historyczne”, podbijając nimi serca i wyobraźnię całej społeczności. Wreszcie rok 1826 przynosi „Sonety krymskie”, fenomenalną harmonizację refleksji, wyobraźni i formy w rozumieniu klasycystycznym.

Podobnie było z prozą. Nasza powieść klasycystyczna, zapoczątkowana w dobie oświecenia, dynamizuje się i rozrasta w wieku XIX, kiedy to ukazują się: „Lejbe i Sióra” (1821) i „Jan z Tęczyna” (1825) Niemcewicza, „Pojata...” (1821) Feliksa Bernatowicza, „Listy Elżbiety Rzeczyckiej” (1825) i „Dziennik Franciszki Krasińskiej” (1825) Klementyna z Tańskich Hoffmanowej. Był tedy rozwój, ruch zmierzający ku realizmowi i poprzez Korzeniowskiego, Kraszewskiego, Kaczkowskiego ku wyżynom naszej prozy XIX wieku. A owe „schyłki” i „mroki” z przelotu XVIII i XIX wieku, o których często się czyta, można co najwyżej uważać za zjawiska... ka-

lendarzowe. Inaczej być nie mogło. Aby opuścić niziny kulturalne czasów saskich i znaleźć się na wyżynach literatury europejskiej, wspaniało się nasze piśmiennictwo po szczytach wszystkich rudymetów poetyki w ruchu ciągłym i intensywnym. Prawdopodobnie ta przejawiała się na całym obszarze naszej literatury, w epice, liryce i dramaturgii. Wyjątek stanowi tu tylko satyra poetycka (horacjańska). Uprawiana przez Krasickiego, Naruszewicza i in., straciła na rozmachu wobec celów wyższych. Zaznaczył się natomiast szybki rozwój języka i stylu naukowego (Śniadecki). Dekadencji nie było. Był progres, którego nie zahamowały trzy klęski wojenne ani upadek państwa.

Żeby już kończyć: jakie są wspólne cechy utworów naszego porządku klasycystycznego? Całkiem wyraźne: jest w nich harmonizacja idei, myśli, uczuć, wyobrażeń i formy, są dowody patriotyzmu, który w różnych postaciach przewija się przez cały nasz klasycyzm. Nie pozostają w tyle i „pseudoklasycy”: Lubieński, Wężyk, Hoffman, Kropiński, Feliński, Koźmian, Osiński („Horacjusze”). Szerują, jak się rzekło, pierwotną na ten czas ideą pokrzepiania serc narodowych. A sprawy społeczne? Znane są przykłady demokracji i antyrystokratyzmu w utworach Jasińskiego, Niemcewicza, Bogusławskiego, Fredry („Geldhab”), „Mąż i żona”, Malczewskiego, Mickiewicza i in. Nie były one także obojętne Koźmianowi („Ziemiaństwo”) czy Osińskiemu, który jako dyrektor teatru nie ograniczał się do repertuaru klasycystów francuskich, ale wystawiał też Beaumarchais’a i Schillera (np. „Intrygę i miłość”), a jako redaktor „Pamiętnika Warszawskiego” upowszechniał utwory nad stanem wołania polskich oraz nad kwestią oczyszczenia i uwolnienia ich.

Jest i wspólnota form artystycznych: regularność wiersza, klarowność składni, wyrazistość metafory, harmonia budowy utworu. W dramaturgii i epice panują klasycystyczne zasady kompozycji wedle kanonu: zapowiedź konfliktu, konflikt, perypetia, katastrofa (przesilenie), rozwiązanie — znakomicie zastosowane w „Barbarze Radziwiłłównie”, „Panu Geldhabie”, „Mężu i żonie”, „Ślubach panińskich”, „Zemście”, „Grażynie”, „Panu

Tadeuszu” i in. Dalej: zasada trzech jedności dramatycznych, ściśle uwzględniana przez Felińskiego i Fredrę („Pan Geldhab”, „Mąż i żona”, „Śluby panińskie”), lub też pomijana (Lubieńska, Wężyk, Fredro — „Zemsta”). Jest i retoryka — uzasadniona w dramatach majestatycznych wagą i powagą chwil historycznych („Barbara Radziwiłłówna”), nie zawsze usprawiedliwiona w układzie codziennej przeciętności („Zręczność i przekora”). Są rygory, ale nie brak i swobód. Szanuje się boalizmy czy dmochowiana, ale często się je pomija. To i Homer o nich nie wiedział. A zresztą sprawa jest bardziej skomplikowana, niż to się może wydawać. Utań się np. pogląd, jakoby „sztywne reguły” z zasady przynosiły tylko wyniki ujemne, plody martwe na pniu, ale tak nie jest. Dowodami „Pan Geldhab”, „Mąż i żona” czy „Śluby panińskie”. Jakże szeroko trzeba nieraz klarować amatorom, że komedie te jak najściślej podlegają klasycystycznym rygorom pięciofazowej kompozycji i trzech jedności dramatycznych.

Były też ograniczenia w stylistyce, ale nie bez szerokiej licencji na korzyść realizmu. Ceniono patos Iliady, ale i realizm w Odysei, chwalono tyrady tragiczne, ale i nie gardzono sarkazmami w komediach Arystofanesa. Pisał Niemcewicz stylizowane „Śpiewy historyczne”, ale i realistyczną powieść „Lejbe i Sióra”. Mamy patos w odach Koźmiana, ale jest i sarkazm w jego epigramatach czy w satyrze „Do tańczącego Krakowa”. Jest tyra da w „Odzie na cześć Kopernika” Osińskiego, ale i realistyczna prostota w jego poezjach ulotnych, np. w wierszu „Do ogródka”.

Granice między obcymi sobie prądami kulturalnymi często się zacierały; tak też jest na pograniczu klasycyzmu i romantyzmu. W klasycyzmie przejawiają się elementy romantycznej uczuciowości („Maria” A. Malczewskiego), a w romantyzmie — elementy klasycystyczne, np. epika w „Ustępku Dziadów cz. III”.

Trwał nasz klasycyzm bez mała 80 lat, przyniósł nam nowoczesną i oryginalną dramaturgię, taką lirykę, epopeję i prozę, spełnił też szereg misji narodowych i społecz-

nych, nie powiodło się tylko... „pseudoklasyzmem”.

Nie bez słusności żalił się F. S. Dmochowski: *Wątpię, czy kto z teraźniejszych redaktorów pism literackich należycie zna prace literatów z pierwszych lat naszego wieku, pospolicie klasykami zwanych, gdyż nauczył się dorywczego sądu, przed trzydziestu laty rzuczonego między ówczesną generacją, że to są twory niegodne uwagi i czytania. A przecie były to dzieła, na których kształcili się ci sami pisarze, którzy potem nauczycielom swoim zapłacili sztyderstwem.* („Wspomnienia od 1806 do 1830”, Warszawa 1959, s. 163).

I jak tu się dziwić, że ten czy ów izolowany „izolacjonista” odsunął się od świata?

A finał całej historii? Otóż klasycyzm nie zmarł na uwiad starczy ani śmiercią nagłą a niespodziewaną, lecz, zderzwszy się z romantyzmem, przeobraził się wewnętrznie i potoczył dalej łozyskiem realizmu krytycznego.

Eugeniusz Gołębiowski

Przypisy

- 1) „Die polnische Literatur”, Wildpark-Potsdam 1831, s. 25.
- 2) M. Szykowski: Wstęp do wyd. „Barbary” z r. 1930.
- 3) O cenzurze warszawskiej i Orionie — M. Szykowski: „Dzieje nowoczesnej tragedii polskiej” — Kraków 1920, s. 379, tamże sparsim o percepcji naszej dramaturgii klasycystycznej.
- 4) R. Piłat: „Historia Literatury Polskiej”. Lwów 1904, t. IV, s. 121.
- 5) Fr. S. Dmochowski: Wstęp do „Dzieł” L. Osińskiego, Warszawa 1861, s. IV.
- 6) Edward Haczyński: Przedmowa do „Ziemiaństwa” — Wrocław 1823, s. III.
- 7) „Literatura” — Warszawa 1971 (grudzień) oddana do użytku szkolnego w roku 1972, s. 145.
- 8) Piłat: op. cit. s. 105.
- 9) Wbrew temu, co w „Literaturze...” cit. s. 143 — jakoby utwory ich „nie zawierały nowych idei”.
- 10) F. S. Dmochowski: Wstęp do „Dzieł” L. Osińskiego t. I, s. IX.
- 11) „Maria” uchodził za utwór romantyczny. Niektórzy jej elementami „pseudoklasykami” zajal się W. Kubacki (Wstęp do wyd. „Marii” z roku 1956).



**W**TRWAJĄCYCH aktualnie pracach nad przestrzennym zagospodarowaniem kraju jako podstawowe ogniwa, które decydują i będą decydować o przyspieszeniu rozwoju społeczno-gospodarczego, przyjmuje się aglomeracje przemysłowo-miejskie. Dla precyzyjnego sterowania rozwojem społeczno-gospodarczym aglomeracji uznano za niezbędne opracowanie szczegółowych programów gospodarczych i przestrzennych tych jednostek osadniczych.

Wykonane dotychczas prace studialne i projektowe w województwie lubelskim oraz konsultacje z jednostkami centralnymi wskazują na istnienie w aglomeracji lubelskiej wielu problemów do pilnego

rozwiązania, zwłaszcza przy uwzględnieniu przyspieszenia jej rozwoju.

Problematyka aglomeracji lubelskiej, w sensie koniecznych rozwiązań optymalnych i kompleksowych, nie była dotąd podejmowana na większą skalę w pracach planistycznych, rozwiązaniach praktycznych i jest mało znana wśród społeczeństwa.

Obszar centralny aglomeracji stanowią obecnie miasta Lublin i Świdnik. Wchodzą tu również Lubartów, Bełżyce, Białobrzegi, tereny wiejskie znacznej części powiatu lubelskiego oraz części powiatów lubartowskiego, bełżyckiego i białobrzezkiego. Charakterystyczną cechą jest wysoki poziom zurbanizowania, stanowiąc zaplecze żywieniowe ludności aglomeracji (zwłaszcza w artykule nie znoszące długich przewozów). Stąd też rekrutują się głównie dojeżdżający do pracy jak również młodzież udająca się do szkół średnich i wyższych Lublina.

W okresie po 1990 r. obszar aglomeracji zostanie powiększony o dalsze tereny związane z wykorzystaniem surowców mineralnych.

W sumie obszar aglomeracji obejmuje około 3200 km kwadrat, tj. 12 proc. powierzchni województwa, stanowiąc jednak pod względem ludnościowym, zatrudnienia oraz potencjału gospodarczego rejon silnej koncentracji. Świadczy o tym udział ludności aglomeracji ogółem w województwie (27,4 proc.), ludności miejskiej (49,5 proc.), zatrudnionych w przemyśle (43 proc.), zwłaszcza elektromaszynowym (68 proc.), spożywczym (43 proc.) i lekkim (46 proc.), uczniów szkół średnich (33 proc.), lekarzy medycyny (57 proc.), łóżek szpitalnych (41 proc.) itp. Syntetycznym miernikiem wzrostu znaczenia aglomeracji w województwie może być przyrost w latach 1951—1970 liczby ludności miejskiej o 185 tys. osób, co stanowiło ponad 50 proc. tego przyrostu w całym regionie lubelskim.

W skali krajowej aglomeracja lubelska zaliczona została do grupy 7 kształtujących się jeszcze aglomeracji, chociaż pod względem liczby ludności miejskiej zajmuje w ogóle 13 miejsce. Obejmuje ona 1,0 proc. powierzchni kraju, 1,6 proc. ludności ogółem, 1,7 proc. ludności miejskiej oraz 1,3 proc. zatrudnionych w przemyśle.

Agglomeracja lubelska posiada wyraźnie wykształconą specjalizację w skali krajowej: szkolnictwo wyższe (ósmy w Polsce pod względem liczby studentów ośrodek akademicki — 5,8 proc. studium w kraju) oraz produkcję środków transportu (samochody dostawcze, motocykle, śmigłowce).

Prace studialne nad perspektywą rozwoju naszej aglomeracji stwierdziły, że wprawdzie występują tu

strasznych. Planowe i kierowane zagospodarowanie przestrzenne zabezpiecza bowiem wysoką efektywność nakładów inwestycyjnych jak też zmniejsza szkodliwość oddziaływania na środowisko naturalne, optymalizuje dostępność ludności do usług, miejsc pracy, wypoczynku itp.

W kształtowaniu sieci osadniczej należy mieć na uwadze, obok zasadniczego rozwoju istniejących centralnych ośrodków wzrostu (Lublin i Świdnik), szybki rozwój ludnościowy Lubartowa wynikający z otrzymywanej funkcji przemysłowej oraz wykształcanie się nowego ośrodka wzrostu sieci osadniczej (jedno lub dwa miasta), związanego z zagospodarowaniem surowców mineralnych.

Przy ograniczonych możliwościach budownictwa mieszkaniowego wie-

# Dwa głosy

**W**SPÓŁCZESNA proza w dużym swym odłamie — gdyby tematycznie rozpatrywać zagadnienie — zwraca swą zainteresowanie w stronę „chłopa” i penetruje realia wiejskiego życia. Interesuje ją jednakże nie tyle samo życie w wymiarze przebiegających zdarzeń dnia codziennego, monotonicznie powtarzających się czynności przyzgodowych, jarmarcznych czy polowych, bo to wydaje się młodym pisarzem materiałem mało ciekawym. Współczesna proza nie chce pozostać na pulapie jedynie realistycznego (anonimowego narracyjnie) przekazywania świata. Chętnie natomiast poprzez obserwowane realia drąży kulturowe zaplecze i tradycję życia pewnych grup społecznych, a w wypadku prozy tzw. nurtu wiejskiego — tradycję i mitologiczno-religijne wyobrażenia ludu. W poetycki sposób aktywizuje różne wyobraźniowo-społeczne płaszczyzny.

Najbardziej tu symptomatyczne pisarstwo Tadeusza Nowaka w całości nakierowane zostało na poznanie ukrytych i wymierzających, a przeciw tak bogatych i poetycko płodnych wyobrażeń o świecie. To nie, że wyobrażeń wyidealizowanych i wcielonych w kraje baśni, że — transformujących nasz obraz polskiej, już częściowo zmotoryzowanej wsi. Nie w tym zleża, bo tak utworzony świat, jak czyni to T. Nowak, uczy odbiorcę wyobraźni, a ta wzbogaca i poszerza sposób odbioru rzeczywistości, jest niepodważalną wartością w technicyzującym się i kulturowo ujednolicejącym świecie. Nadaje mu — operując symbolem, mitem i aluzją — nowy, bardziej pełny i wielowarstwowy wymiar.

Ale można zgodzić się z co bardziej zapomnianymi krytykami, którzy zakończyli ostrą (na łamach „Kultury”) batalię o realizm w powieściowym przedstawianiu rzeczywistości — byłoby niedobrze dla literatury a nawet samej rzeczywistości, gdyby poetycki model pisarstwa Tadeusza Nowaka był wyłącznym i jedynym. A tak przeciw w tzw. nurcie prozy chłopskiej nie jest. Nie wspominając o pisarzach generacji Stanisława Piętaka, Henryka Woroella i Bolesława Ożoga (których książki są wznawiane i dopiero teraz się ukazują) zauważyć trzeba współczesny Nowakowi przeciwny nurt „realistycznego” pisarstwa u Ernesta Brylla („Stu-

dium”, „Ciotka”, „Jalowiec”) i przede wszystkim — Juliana Kawalca („Zwalony wiatr”, „Ziemi przypisany”, „W słońcu”, „Pochwała rak”, „Wezwanie” itp.).

Julian Kawalec — mistrz dla Brylla prozaika — ma ambicje ukazywania rzeczywistości, w której tradycyjny konflikt racji oraz przeciwnych sił jest dominujący, tworzy epicko obiektywne, szeroko zakrojone zrzęby świata. Trochę na sposób Faulknerowski (krytycy niejednokrotnie wskazywali na zamierzone lub nie — zbieżności i podobieństwa w tej mierze) chce malować „prawdziwy” i zdynamizowany konfliktami jego obraz. Oczywiście, zbieżności te są przypadkowe i powierzchniowej natury — wynikiem nie tyle z pisarskiej równorzędności talentów (bo o tym nie można nawet mówić), co przede wszystkim z literackiego terminowania Kawalca u klasyka amerykańskiej prozy.

Epicka wyobraźnia autora powieści „W słońcu” czy też książki „Wezwanie” wyraźnie kuleje, jest bowiem przeniknięta moralizatorską tendencją interweniowania w sprawy toczące się życia i jakby tworzenia sytuacji dla zilustrowania już z góry założonego czy tylko odkrytego społecznego konfliktu. Naczelna teza poszczególnych powieści dąży u Kawalca do usamodzielnienia i swą wyrazistością chce się oderwać od miąższu faktów i prawdziwych epicko zdarzeń. Jest to typ pisarstwa, które wiele bierze z dziennikarskiej interwencyjności, doraźnej potrzeby ostatecznego zamknięcia i wyjaśnienia obrazu przedstawionej rzeczywistości z równoczesnym jej upatrywaniem w samym sposobie narracyjnego relacjonowania (częste używanie drugosobowych form opowiadawczych). Przykładem może służyć jedna z ostatnich powieści Kawalca „Wezwanie”, której przewodzi jest teza o współczesnym Janku Muzykancie — niedocenionym i skrzywdzonym, tragicznym (samobójczy?) zmarłym ludowym rzeźbiarzu. Oczywiście trudno wchodzić w szusznostę tej tezy w odniesieniu do realnej rzeczywistości, ale w powieści jest ona zbyt mocno wyeksponowana (również tytułem „Wezwanie”), by do epicko kreślonych sytuacji nie wtargnął moralitetowy sposób ich interpretacji oraz by nie wytworzyło się wrażenie „przesadnego uzależ-

# AGLOMERACJA

Jan Martychewicz

lorodzinnego w miastach, konieczne będzie przyspieszenie budownictwa mieszkaniowego dla ludności pozarolniczej na terenach wiejskich i wyznaczenie w związku z tym odpowiedniego układu sieci osadniczej.

Istotne znaczenie dla przestrzennego zagospodarowania aglomeracji posiadac będzie racjonalny układ sieci kolejowej i drogowej, integrujący wewnętrznie cały obszar, zmniejszający uciążliwość tej sieci jak też wiążący aglomerację z innymi terenami regionu i kraju. Wyda się celowa m. in. realizacja obwodnicy wokół Lublina, dróg szybkiego ruchu w pierwszej kolejności relacji Kurów — Lublin — Piaski — Chelm oraz Lublin — Lubartów. W sieci kolejowej przy wzrastającym natężeniu przewozów towarowych konieczna będzie budowa odcinka kolejowego Lublina od strony północnej. Wzrost przewozów pasażerskich (do pracy i szkół) wymaga obok budowy dworca autobusowo-kolejowego w Lublinie realizacji szybkiej kolei dojazdowej między podstawowymi centrami aglomeracji.

W polityce lokalizacji nowych zakładów pracy obok zasady równowagi między pracą dla mężczyzn i kobiet niezbędne jest również ograniczenie, a nawet zakaz budowy nowych zakładów z przewagą zatrudnienia mężczyzn w najbliższym rejonie Lublina. Związane to jest z już występującym deficytem męskiej siły roboczej w ośrodkach centralnych aglomeracji, jak też przewidywanym dynamicznym rozwojem budownictwa, transportu i gałęzi przemysłu zatrudniającego głównie mężczyzn.

Przy okazji rozpatrywania problematyki rozwoju aglomeracji lubelskiej wymaga zasygnalizowania zarysowującej się rozbieżność pomiędzy poglądami planifikatora centralnego a zamierzeniami regionalnymi co do rozmiaru wzrostu liczby ludności miejskiej, wyrażającej w efekcie dynamikę rozwoju społeczno-gospodarczego aglomeracji.

Przyjęcie założeń centralnych oznaczałoby zmniejszenie tempa rozwoju w porównaniu z latami 1951—1970, albowiem wówczas średnioroczny przyrost liczby ludności miejskiej wyniósł 8,3 tys. osób, tymczasem proponuje się aktualnie 5,3 tys. osób. Prognoza regionalna zakłada do 1990 r. średnioroczny przyrost w wysokości 10 tys. osób, uwzględniając obok rozwoju dotychczasowych funkcji, nową, związaną z zagospodarowaniem surowców mineralnych.

Ze względu na ograniczone ramy artykułu przedstawione zostały jedynie niektóre podstawowe problemy rozwoju aglomeracji lubelskiej. Niemniej jednak wskazują one na konieczność szybkiego opracowania koncepcji i planu rozwoju aglomeracji oraz uwzględnienia perspektyw rozwoju w bieżącej polityce gospodarczej województwa. Nie powinno się bowiem planować rozwoju Lublina w oderwaniu od najbliższego zaplecza, gdyż konieczna tu jest odpowiednia koordynacja przedsięwzięć.

W tym celu niezbędne jest opracowanie m. in. szczegółowego planu regionalnego aglomeracji, aktualizacja planu ogólnego Lublina i Świdnika z uwzględnieniem ich integracji. Równocześnie konieczne są opracowania typu studialnego, a potem projektowego, w sprawie zaopatrzenia aglomeracji w wodę, sieci drogowej i kolejowej, rozwoju rolnictwa, ochrony środowiska itp. Aktualna organizacja i potencjał kadrowy jednostek planowania przestrzennego oraz przeznaczane na ten cel środki finansowe nie gwarantują jednak terminowego wykonania niezbędnych prac i sprawa pilną jest podjęcie stosownych decyzji, umożliwiających wykonanie tych zadań.



Lublin. Widok z Wieży Trynitarskiej

Uwzględniając potencjalne czynniki rozwoju i kierunki wzrostu wynikające z zamierzeń krajowych oraz regionalnych można ustalić następujące zasady rozwoju aglomeracji lubelskiej:

1) kontynuacja dotychczasowych specjalizacji (przemysł środków transportu, szkolnictwo średnie i wyższe, nauka) oraz uzyskanie nowej specjalizacji w przemyśle paliwowo-energetycznym i lekkim,

2) wykorzystanie istniejących potencjalnych wyników rozwoju,

3) zasadnicza poprawa warunków bytowych największej koncentracji ludności miejskiej województwa poprzez przyspieszony rozwój budownictwa mieszkaniowego o wysokich standardach, infrastruktury społecznej, rekreacji, bazy lokalowej i kadrowej służby zdrowia i innych usług oraz realizację szeregu przedsięwzięć dla ochrony środowiska naturalnego,

4) pełne wykształcenie Lublina jako ośrodka o znaczeniu międzywojewódzkim w wielu specjalistycznych usługach oraz centrum w zakresie szkolnictwa i nauki, ochrony zdrowia oraz kultury,

5) prowadzenie optymalnych rozwiązań kompleksowych dla całej aglomeracji, zwłaszcza w zakresie infrastruktury technicznej (zaopatrzenie w wodę i odprowadzenie ścieków, energetyka, sieć komunikacyjna — koleje, drogi, łączność).

Dla scharakteryzowania przemian ilościowych i strukturalnych w aglomeracji lubelskiej, jakie prognozowane są tu w ciągu najbliższych 15—20 lat, warto podać kilka podstawowych danych liczbowych (w porównaniu do 1970 r.). W zakresie zatrudnienia — przy ogólnym jego wzroście o 40 proc. — w zawodach pozarolniczych podwoi się, w rolnictwie natomiast zmniejszy się o 50 proc. Liczba ludności aglomeracji ogółem wzrośnie o 35 proc., natomiast miejska o 70 proc. Zmiany w zatrudnieniu spowodują zasadnicze przeobrażenia strukturalne, a mianowicie wzrost udziału zatrudnionych w zawodach pozarolniczych z 58 do 85 proc. (zatrudnieni w rolnictwie tylko 15 proc.), ludności miejskiej z 55 do 70 proc.

O wzmocnieniu podstawowych funkcji aglomeracji w działach pozaprodukcyjnych, a zwłaszcza jej centrum — Lublina, zarówno w regionie jak i w kraju świadczy przewidywane potrojenie liczby studentów (5-krotny wzrost liczby studentów WSI) oraz wzrost o 50 proc. liczby łóżek szpitalnych. Poprawa warunków mieszkaniowych wymagać będzie wybudowania do 1990 roku około dwukrotnie więcej mieszkań w miastach niż wynosił ich stan w 1970 r.

Przewidywana intensyfikacja za-inwestowania obszarów aglomeracji lubelskiej, wynikająca m. in. z zagospodarowania istniejących tu surowców mineralnych, przyspieszony rozwój społeczno-gospodarczy wymagają optymalizacji układów prze-

## LUBELSKA «DZIEWIĄTKA»

Dokończenie ze str. 1

nie wszyscy nauczyciele, którzy nie mają studiów i nie ukończyli 40 roku życia, powinni te studia podejmować, więc — jakkolwiek by liczyć — 12 osób powinno się w tej szkole zainteresować uzupełnieniem swoich edukacji. I to jest sytuacja poważna, której nie ośmiela fakt, że — wedle oświadczenia dyrektora — wszyscy nauczyciele w tej szkole posiadają takie czy inne kwalifikacje zawodowe. Do 1980 roku, końca pierwszego etapu zmian, pozostało zaledwie lat siedem, a studia trwają — jak wiadomo — przynajmniej pięć. Matematyka prosta i konieczna, choć nie całkiem optymistyczna.

Ostatnio się dowiedziałem, że górna granicę wieku, wymaganą do podjęcia studiów, obniżono w przypadku kobiet do lat 35. Większość nauczycieli to kobiety, znaczna większość 35-letnia nauczycielka pozostanie w zawodzie jeszcze co najmniej 20 lat, więc zanosi się na to, że przez długie lata nie będzie wyraźnego bodźca, iżby znaczna część czynnych pedagogów podjęła wyższe studia. To już matematyka zupełnie pesymistyczna.

Jak się rzekło, szkoła ma dopiero dziesięć lat. Jest 1000-letnia, ale budowana była nie całkiem z głową, za to według projektu typowego. Ot, sale lekcyjne, internat-przechowalnia dzieci klasowa i toalety, mała sala gimnastyczna i parę niewielkich pomieszczeń dodatkowych. Zakładano, że będzie to szkoła dla około 600 uczniów, obecnie uczy się ponad 800. W szesnastu pomieszczeniach lekcyjnych, więc na dwie zmiany. Klasno i brak zaplecza, szczególnie magazynów.



Fot. St. Butrym



# w nurcie tzw. prozy chłopskiej

Tadeusz Polanowski

niania koncepcji losów bohaterów od czynników socjologicznych i materialnych czasów" (F. Fornalczak).

Takie już jest pisarstwo Kawalca, które ostatnio w osobie Tomasza Burka („Zamiast powieści”) znalazło „gorliwego” krytyka usiłującego wykazać nonsensowność publicystycznego określenia: „polski Faulkner”.

Postać J. Kawalca w prozie tzw. nurtu chłopskiego jest oczywiście mocna, można nawet mówić o stworzonym przez niego modelu prozy, który u pisarzy wchodzących do literatury i podejmujących tematykę wiejską, zostaje świadomie lub bez wyraźnej wiedzy wypożyczany i ewentualnie rozwijany. Nie będę wspominał o E. Bryllu — świetnym literacko stylizatorze i nie tylko romantycznym trawestatorze — o nim była już mowa. Warto natomiast przywołać kilka nazwisk z młodszej generacji. A to: Mariana Pilota, Kazimierza Orłosa, Adolfa Maty, Henryka Jachimowskiego czy nawet nazwisko Zygmunta Trziszki. Wszyscy oni jakkolwiek mają (czy mieli) coś z pisarstwa Kawalca, to na różny sposób, w różnym zestawie cech oraz akcentów położonych na poszczególne pierwiastki społecznego życia. I tak np. M. Pilot jest autorem wewnętrznym bogatym w pisarskie możliwości, ale używa m. in. drugosobowej (mówiąc do bohatera przez „ty”) techniki narracyjnej, która — jak u Kawalca — w podobny sposób i u niego dramatyzuje daną opowieść. Nadto M. Pilot podejmuje, że tylko wspomnę o głównym bohaterze powieści „Majdan”, kwestię moralnych kosztów tzw. awansu społecznego po przebytej drodze ze wsi do miasta, a jest to problem szeroko i dramatycznie eksplloatowany przez Kawalca. (Do problemów awansu społecznego nawiązuje też H. Jachimowski w powieści „Skaza”).

W pisarstwie K. Orłosa (zbiory opowiadań: „Między brzegami”, „Koniec zabawy”, „Ciemne drzewa”) powinowactwa z autorem „Wezwania” są bardziej ukryte, a mogą się wyrażać w typie wiejskiego świata, prezentowanego w swych zwykłych, epicko prawdziwych kształtach, chociaż wyraźnie podnoszących ważny problem brutalizmu wynikłego z braku wrażliwości i zwykłej wyobraźni. Założony problem nie przeszkadza jednak młodemu pisarzowi w przekazywaniu zahaczonych o życie, ukonkretnionych obserwacji.

2. Młodych prozaików intriguje jednakże ciekawszymi artystycznie modelami poetyzującego pisarstwa T. Nowaka. Można się z jego propozycją nie zgadzać, ale pominąć trudno. T. Nowakowi zawdzięcza wiele np. Stachura, przejmując poprzez przypowieściową stylizację Myśliwskiego, siłą wyobraźni upodabnia się M. Kozioł i poprzez polemikę z pisarstwem opartym na tejże wyobraźni — wykorzystuje J. Ratajczak.

Edward Stachura jest, zapewne, najbliższy Nowakowej metodzie lirycznego prezentowania świata. Kreuje on wrażliwego bohatera o bogatym życiu wewnętrznym, który obsesyjnie uwikłany został w sprawy życia, miłości i śmierci. Świat stał się dla niego sumą lirycznych wrażeń, bodźcem do autentycznych przeżyć, których znów absolutną szczytówką autor dodatkowo wspiera metanarracyjnymi komentarzami, demaskującymi fabularną schematyzację opisywanego świata. Tak jest w zbiorze opowiadań „Jeden dzień”, w „Falując na wietrze”, w „Calej jaskrawości” i wreszcie w „Siekierzezdzie albo zimnie leśnych ludzi” (1972). W tym ostatnim utworze bohater przeżywa (zaraz na początku powieści) obsesję krachu czyjejszego życia w dającym i później o sobie znać wątku tragicznej śmierci (którą z różnych przyczyn możemy łączyć z przypadkową śmiercią niedożytego pasażera pociągu Zbigniewa Cybulskiego). I właśnie, przed bezpośrednią przeżywaną wizją czyjejs śmierci oraz mocno odczuwaną znikomością własnego życia wypełnionego chwilami depresyjnych załamów, momentami stanów lękowych (usymbolizowanych chociażby przy pomocy często opadającej na bohatera metaforycznej mgły) broni się narrator prawdziwie czystą i „zabawczą” miłością do „Galazki Jabłoni”. Miłość nadaje dopiero właściwy sens życiu, które oparte zostało w „Siekierzezdzie” na biologicznej pracy mięśni. Przez miłość życie stało się entuzjastycznie przyjętą sezonową „siekierozadą” (pracą przy wyrębie lasu) dla zdobywcy potrzebnych również i „Galazce” pieniędzy.

W zabiegu wyobraźniowego uliryzowania rzeczywistości tkwi też zasadnicze podobieństwo pomiędzy opartym na wiejskich realiach pisarstwem Nowaka, a do tych realiów nawiązującą twórczością Stachury. Różnica zaś polega na totalnym baśniowo-mitycznym prze-

transformowaniu opisywanej rzeczywistości u Nowaka, a częściowym, niezależnie od rzeczywistości istniejącej obiektywnie, lirycznym jej sublimowaniu na użytek narratora-bohatera u Stachury. Działająca u autora „Siekierozady” wyobraźnia nie powoduje, jak u twórcy „Diabłów”, umitycznienia realnej rzeczywistości poprzez jej zanurzenie w historyczną przeszłość i teraźniejszość, ale różną przecie, rzeczywistość świata przyrody, a przynosi w efekcie jej subiektywny obraz, na kanwie którego bohater Stachury tworzy własną — wewnętrzną płaszczyznę życia psychiczno-uczuciowego. Jest poprzez swoje bogate życie psychiczne od rzeczywistości niemal niezależny, może ją zaakceptować, albo też nią pogardzić, czego np. nie może zrobić bohater powieści „A jak katem a jak królem będziesz”, bo on został w jej — wprawdzie złagodzone — prawa znacznie mocniej wpisany. Bohater Stachury przyjmuje wobec prozaicznych sytuacji dystans estety, człowiek Nowaka tego dystansu przyjąć nie może, bo światem, w którym tkwi bohater, rządziła ta sama totalnie poetyzująca zasada.

U Józefa Ratajczaka poznawczego poety, ale od kilku lat także prozaika mit nie służy do wywołania — jak u Nowaka — literackiej kreacji. Ujęty od „badawczej” (a nie kreacyjnej) strony odśladania mechanizmu swojego rodzenia się, późniejszego funkcjonowania i ewentualnego wygasania. W lekko parodystycznej powieści „Gniazdo na chmurze” możemy być świadkami wzrastania, z różnym powodzeniem, w pobudzonej (na sposób ludowy) wyobraźni chłopców mitu starego emigranta z Westfalii wspomagającego rodzinę zarobionymi pieniędzmi. W zbiorze opowiadań „Trawa” proces odśladania mechanizmów legendowo-mitycznych idzie jeszcze dalej. Staje się centralną metodą badania zbiorowo i jednostkowo tworzonych fikcji — smutnych opowieści na kanwie odległych czasowo zdarzeń z groźnych przebiegów II wojny światowej. Działanie wyobraźni umożliwia zaistnienie mitu, ale autor — ze swej pozycji gospodarza — nie traktuje go poważnie, spieszy dokonać jego negacji, odśladania ulude i rozrastającą się fikcję. Czyni to sposobem przerysowań (jak w opowiadaniu „Żołnierz opowiada”), bądź metodą dowcipnego sprowadzania

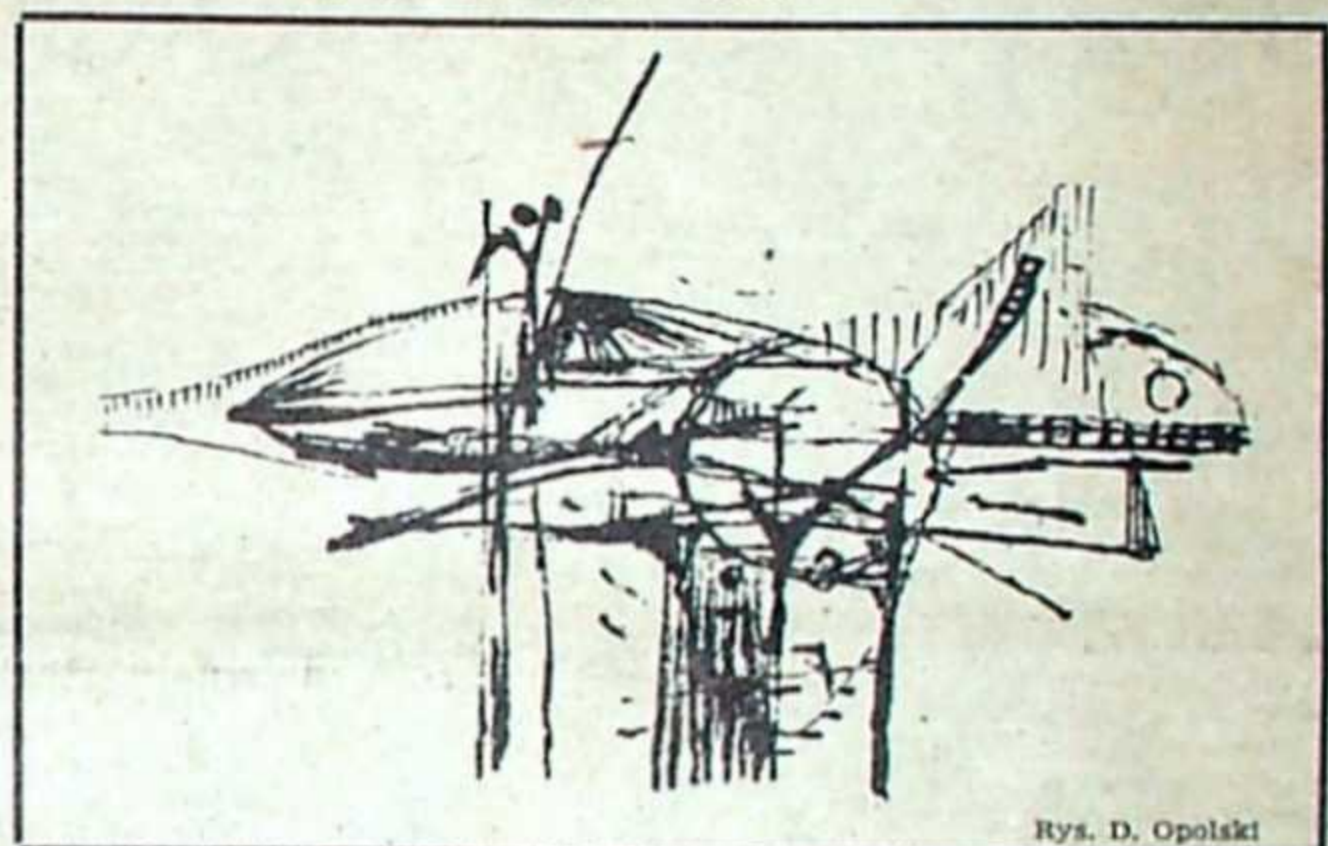
„fantazji” na „ziemię” przez osoby niezaangażowane w daną opowieść („Boczny tor”, „Wypracowanie z życia wujka Nepka”).

3. Pora jednak nawiązać do bardzo ogólnie wypowiedzianego tytułu, w którym sprzeciw może budzić sformułowanie „dwa głosy” jak też niezaakceptowane jeszcze w krytyce literackiej określenie „nurt prozy chłopskiej”. „Dwa głosy” to innymi słowy dwa znaczące stanowiska, dwie przeciwstawne sobie pisarskie propozycje konstrukcji świata opartego na rzeczywistości wiejskiej, a częściowo także — wiejskim zapleczu kulturowym. Są nimi — sugerowane wcześniej — pisarskie osiągnięcia, z jednej strony, Kawalca, z drugiej, Nowaka. O ich jakości nie sposób szerzej mówić, natomiast dodać trzeba, że dotychczas nie pojawiła się nowa — równie mocna jak tamte — propozycja literackiego zorganizowania świata w ramach przynależności do tzw. nurtu czy tematu wiejskiego. Jej wypłynięcie należy zapewne do przyszłości i może się wykrystalizować z pisarstwa np. Orłosa, Pilota, nie omawianych tutaj szerszej Myśliwskiego i Trziszki, a także: Stachury czy Ratajczaka — choć ci ostatni wyraźnie przekraczają sferę wiejskich zainteresowań. Może jednak przyjąć od najmłodszych pisarzy, takich jak: Dziekanowski, a zwłaszcza Waksmański i dopiero co debiutujący Łoziński.

Określenie drugie: „nurt prozy chłopskiej” jest tyleż ogólnym,

co niejasne, sugerować może ludowy tzw. „samorodny” charakter tej literatury. Takie znaczenie byłoby odległe od naszego, które ma wskazywać z jednej strony na tematyczne a z drugiej, na kulturowe zaplecze danej twórczości. Ale rodzi się tu podstawowa trudność; powstaje pytanie o istnienie odrębnej kultury chłopskiej, do której można by ciągle nawiązywać i pytanie następne: na ile ta kultura jest jeszcze samodzielna i zdolna do wniesienia w ogólnonarodową tradycję pierwiastków jakie wniosła kiedyś np. kultura mieszczańska i szlachecka, by można mówić o nurcie literatury wiejskiej („chłopskiej”) — jak chce Bereza w analogii do literatury szlacheckiej, mieszczańskiej?

W tym tkwi właśnie terminologiczna przesada ogólnie sformułowanego dla celów praktycznych określenia „nurt prozy chłopskiej”, ale równocześnie, w ustaleniu H. Berezy, zawężająca swoje znaczenie poprzez słowo „nurt” w literaturze chłopskiej, a nie określenie „literatura chłopska” w analogii do np. dawnej literatury szlacheckiej. To małe, zapewne niewystarczające jeszcze, zastrzeżenie pozwala dopiero — z mniejszą czy większą świadomością niedostatku — mówić o czymś takim, jak nurt chłopski w literaturze polskiej. O analogicznym nurcie np. w literaturze skandy-nawskiej można by mówić jako o zjawisku już dobrze zdomowionym.



Rys. D. Opolski

Jakoś jednak próbowali sobie poradzić. Dla potrzeb magazynku (bo nie magazynu z prawdziwego zdarzenia) zaadaptowali jedną z. toalet. Dyrektor Pakuła prosił mnie, żeby o tym nie pisać, ale ponieważ w szkolnictwie lubelskim to nie pierwszy przypadek takiej szczęśliwej adaptacji, więc poczułem się zwolniony od spełnienia tej prośby. Szatnię nauczycielską urządzono w dawnym gabinecie lekarskim, który przeniesiono do lepszego pomieszczenia, gdzie się miał znajdować jakby magazyn właśnie. Taka kombinacja. Półinternat-przechowalnię dzieci znacznie poszerzono kosztem byłego mieszkania kierownika szkoły, jednej sali lekcyjnej oraz dwu pomieszczeń wygoszparowanych... z hallu. Tak że z półinternatem teraz sytuacja całkiem przyzwolnie się przedstawiła, w związku z czym dawna stołówka-świetlica pełni obecnie tylko funkcję jadalni. I tak powinno być.

Oglądam pracownię zajęć technicznych dla dziewcząt. Dziwię się pedałowym maszynom do szycia marki „Singer”. Nieśmiertelne „Singer”! Urządzenia kuchenne, ale brak instalacji gazowej (jest butla) i brak ujęcia wody (jest wiadro). Te „pracownię” w przyszłym roku szkolnym przeniosą do innej sali, gdzie łatwiej będzie rozkuć strop oraz ściany i doprowadzić instalację wodną i gazową. I tak trwa ta zabawa z przenosinami, adaptacjami w obrębie budynku, który trzeszczy w szwach.

— Jaka ta szkoła powinna być w przyszłości i co tutaj można jeszcze zrobić? — pytam.

— Szkołę swoją widzę szeroką, przestronną i widną... — rozpoczyna optymistycznie Helena Kępa, wicedyrektor placówki.

— Już teraz nie jest źle, gdzie indziej i tego nie mają — przerywa dyrektor Pakuła. — Tym więcej, że rysują się pewne możliwości na przyszłość, o których zaraz tutaj mogę powiedzieć.

W najbliższej przyszłości trzeba po prostu wyremontować cały budynek. To widać gołym okiem: odłazi z podłóg wykładzina szpachlowa, tytułem eksperymentu 10 lat temu zaistalowana w tej szkole i obliczona właśnie na lat 10, ściany wewnętrzne domagają się nowych tynków i malowania. Koszt tego remontu 1 mln zł.

Nie da się ukryć, że szkoła ma pierwszorzędne tradycje i osiągnięcia sportowe, przede wszystkim dzięki pracy Arkadiusza Łatki, nauczyciela wychowania fizycznego. Medale na mistrzostwach Polski, wielokrotne osiągnięcia mistrzostwa Lublina i województwa. Szczególnie piłka ręczna u nich doskonałe stol, sporty zimowe i lekka atletyka. Dyplomów i medali mają bez liku — za osiągnięcia sportowe. Tu medale zdobywają nawet dzieci w klasach młodszych, jak choć-

by sportowe rodzeństwo Kleczewskich (on w II klasie, ona — w IV).

Nie skory do pochwał i rozczulen, piszę o tym dlatego, żeby pokazać, co znaczy tak zwana baza materialna szkoły, jeśli się chce osiągać nieprzeciętne wyniki nauczania. Oglądam salę gimnastyczną, gdzie akurat prowadzi zajęcia małżonka jednego z lubelskich młodych poetów. Ale sala gimnastyczna — jak powiedziałem — niezbyt imponująca. Natomiast mogą zaimponować boiska asfaltowe na zewnątrz, o ogólnej powierzchni 2,5 tys. metrów kwadratowych. W akcji: „Zmieniamy boiska na lodowiska” oni zdobyli, jako jedyną szkołę podstawową w mieście, puchar MKKFiT.

O tym sporcie tak wiele, ponieważ w inwestycjach sportowych szkoła upatruje szansę ogólnego powiększenia swoich pomieszczeń. A ja upatruję w tym szansę, żeby o funkcjonowaniu tej placówki sensownie mówić w perspektywie przyszłych zmian systemu szkolnego. Otóż powiedział mi dyrektor Pakuła, że przewodniczący PWRN obiecał 5 mln zł na budowę hali sportowej nad salą gimnastyczną, a był przy tej rozmowie kurator Kęcki. Budowa ma wejść do planu na 1974 rok. Uzyskaliby się w ten sposób nie tylko kryte boisko o wymiarach 20x40 m, na którym przepisy pozwalają rozgrywać nawet mecze I-ligowe piłki ręcznej, ale również uzyskaliby się kilka pomieszczeń dodatkowych na sale lekcyjne i prace organizacji młodzieżowych.

Dokumentacji jeszcze nie mają na tę halę sportową. I ja tu nie widzę powodu, żeby dla potaniaenia i przyspieszenia inwestycji nie mogli wykonać tej dokumentacji w czynie społecznym jacyś rodzice-architekci, których latorość uczęszcza do tej szkoły. Wydaje się, że w tym przypadku to nie żebrania, lecz zdrowy rozsądek nakazywałby takie rozwiązanie. Zwiększenie zaś liczby pomieszczeń lekcyjnych to sprawa pierwszorzędna, skoro mamy przejść na naukę w grupach mniej licznych, na nauczanie bardziej indywidualizowane. Już w przyszłym roku szkolnym przeciętna klasa ma liczyć w tej szkole 26 uczniów, a nie — jak obecnie — 33. Klas więc będzie więcej i trzeba sporej gimnastyki, żeby całemu temu towarzystwu zapewnić pomieszczenia na poszczególne lekcje w istniejących warunkach lokalowych. Na szczęście prognoza demograficzna do roku 2000 przewiduje pewien spadek liczby dzieci i młodzieży w wieku do lat 17, co bardziej optymistycznie pozwala widzieć perspektywę nauki w grupach mniejszych, lecz w dalszym ciągu nie rozwiązuje kwestii ilości samych pomieszczeń lekcyjnych.

Na wyposażenie w sprzęt sportowy i audio-wizualny nie narzekają. Gorzej jest z ławkami tu i ówdzie (jeszcze w ośmiu salach lekcyjnych są takie zielone pulpity łączone trwale z siedzeniami, ławeczki krepujące, jakie widziałem na przykład w szkole stawetnej wsi Poznań). Kiepskawa z szafkami na pomoce w klasopracowniach. Całkiem źle z radiofonizacją szkoły. Bo tej radiofonizacji praktycznie nie ma, instalacja jeszcze nie w porządku, głośników brak. I nie bardzo się mogłem zorientować, czyja to mogłaby być wina. Podobno jak były pieniądze na głośniki, to nie było pieniędzy. W takiej dużej szkole powinien być zatrudniony konserwator instalacji, ale pensja na tym stanowisku nieciekawia, i w ogóle to jest problem ogólniejszy, tak samo jak naprawa i remont zużytych pomocy szkolnych. „Władze oświatowe widzą potrzebę wydatków na sprzęt i szkoła sukcesywnie wymienia każdy sprzęt zużyty na nowy, jeśli tylko ten ostatni jest w posiadaniu CEZAS-u” — uspokaja mnie dyrektor. Nie próbuję więc już nawet mruzczyć, że często sprzętu w CEZAS-ie właśnie brak, bo zaraz bym się dowiedział, że to przemysł winny. I może to nawet byłaby prawda. Banalna już.

Kiedy się pisze o szkołach lubelskich, nie powiedzcie czegoś o eksperymencie — wstyd. Ja na temat eksperymentu mam opinię ambivalentną, bo w pierwszej fazie często tu się szło na żywioł i na przypadek, nie wszystkie typy szkół eksperymentowały, nie wszystkie przedmioty i nie wszystkie poziomy nauczania. Tak że potem w niektórych przypadkach i wdrażał nie było właściwie czego, tylko należało rozpocząć od początku. Teraz minister powiedział, że trzeba pracować, a nie eksperymentować, i szal minął, aczkolwiek gdzie były faktyczne osiągnięcia i pozytywne doświadczenia, tam one pozostały i funkcjonują w pracy szkoły, tylko że teraz nie nazywają się eksperymentem, lecz zdrowym rozsądkiem, i pewno słusznie.

Nowiny pedagogiczne zaszczepiał w tej szkole prof. Bogdan Suchodolski, a dotyczyły one integracji przedmiotów oraz nauczania prowadzonego w oparciu o kontakt uczniów ze środowiskiem i miastem, lecz tych nowin nie nazywał profesor eksperymentem, tylko zdrowym rozsądkiem, i też słusznie. Nie zawsze się wszystko tutaj udawało ze względu na warunki lokalowe szkoły. Ale w każdym razie ta szkoła w etap zasadniczych zmian

systemu oświaty nie wejdzie całkiem „zieleną”, gdyby szło o nowe metody nauczania. Tym więcej, że w składzie — pleno titulo — Komitetu Ekspertów dla Opracowania Raportu o Stanie Oświaty w PRL znajduje się również prof. Suchodolski i jego to pomysły, wypróbowywane m. in. w tej szkole, także zaważą na prognozach i postulatach raportu.

Więc można powiedzieć, iż szkoła ma szczęście i łatwiej jej będzie pracować po nowemu, kiedy przyjdzie na to czas. Trzeba tylko koniecznie pomyśleć o realizacji owej 5-millionowej inwestycji oraz o dokształceniu kadry. Ale zastanawiam się w tej chwili nad czymś, co by wykraczało poza sytuację tej konkretnej placówki. Jeśli ta szkoła podstawowa, aktualnie uważana za jedną z lepszych, jeśli nie najlepszych, w Lublinie, jedyną w województwie bodaj, gdzie dzieci uczą się języka angielskiego już w klasie pierwszej, a więc jeśli ta szkoła ma takie potrzeby w perspektywie zmian systemu oświaty i ma także możliwości rozwoju, to jakie potrzeby oraz jakie możliwości mają inne szkoły, uważane za gorsze, oraz jakie potrzeby i możliwości ma w ogóle szkolnictwo Lubelszczyzny? A przecież tu nie idzie o żadne cuda, tylko o rozwiązanie spraw elementarnych, bez których o tej kolejnej, miejmy nadzieję, że tym razem trwałej i długoplanej, reformie systemu oświaty w ogóle nie można sensownie rozmawiać.

Jest to problem ogólnopolski, jeśli by szło o zaplecze materialne szkół, ich bazę lokalową. Kwestia na przykład, co robić z tymi 1000-latkami? Za mało sal lekcyjnych, nikt nie zaplecze magazynowe. Trzeba adaptować te szkoły, bo przecież nie burzyć. Ale jak adaptować, skoro rozwiązanie planowane przez lubelską „dziewiątkę” raczej nietypowe? W skali kraju na inwestycje szkolne w ciągu najbliższych 30 lat planuje się kwotę około 200 miliardów zł. Już stąd widać, że rok 1980, koniec pierwszego etapu zmian, niczego właściwie nie kończy nawet w dziedzinie spraw podstawowych dla szkolnictwa. O tym nasze szkolnictwo powinno pamiętać, ważąc swoje ambicje i rozmyślając nad swymi potrzebami.

Maciej Podgórski

Kamena str. 7



# RUCH w nocy

Dokończenie ze str. 3

— No już, no już — odpowiadała ta druga, w wieku bodaj 44 lat.

Podjeżdża LW 74-80, duży „Star 28”, cztery i pół tony, którym o drugiej zabieram się na trasę do Zamościa. Mazur z kobietami przystępują do załadunku 120 paczek i worków, a odbywa się to w tempie godnym plutonu wypoczętych osiłków.

— No to panu powiem, jak się nazywam — nagle wyłania się zza wozu ta starsza kobieta, z którą próbowałem nawiązać rozmowę. — Czesława Solowiej — kończy z zażenowaniem. No bo cóż, drukarze to „towarzysze sztuki drukarskiej”, dziennikarze, wiadomo, ale żeby koło ciężko zatranego pracownika nocnej zmiany ekspedycji wojewódzkiej „Ruchu” szum robić?

Każde pytanie o satysfakcję z roboty wydaje się tu głupie i naiwne, więc nie pytam, patrzę.

Przeszkłona ścianka oddziela kantorek kierownika zmiany, Szczepana Mazura, od rozległego pomieszczenia rozdzielni. Biurko, krzesło — dwóch ludzi z trudem się mieści. Po prawej stronie wieszak ścienny, na

nim, na ramiączku — spodnie równo w kant złożone, bardzo porządnie. Na wysokiej metalowej popielnicze, wspartej na nóżce, stoją wygłancowane czarne buty wyjściowe kierownika, który podczas pracy w roboczym, niebieskim ubraniu chodzi, pod szyją mając czarny krawat, a na głowie „krymkę” na szydełku wykonaną. Wszystko na swoim miejscu, wszystko z harmonogramem w rękę, według mapy wiszącej na ścianie, według własnego wyobrażenia o dobrej robocie, w kofcu tak, jak by się do tych ciężkich nocy człowiek przyzwyczaił na tyle, że je polubił, że czerpie z nich satysfakcję.

— Ciężko jest, ale nigdy nie było takiego wypadku, żeby prasa nie poszła w teren na czas. Drukarnia może nawalić, my — nie! Choćby się połowa pochorowała, co zdarza się, damy sobie radę.

Z ekspedycji prasy Szczepan Mazur związany jest od 27 lat, od czasów, kiedy to kolportaż był integralną częścią działalności prasowo-wydawniczej RSW; oddzielony na przedział ponad 20 lat, znów znalazł się w ramach jednego przedsiębiorstwa (RSW „Prasa-Książka-Ruch”). W tych ośmiu latach pracował w drukarni prasowa oddziału przy Krakowskim Przedmieściu, w budynku małym, parterowym, w którym dziś nie ma śladu; na jego miejscu wzniesiono wielki obiekt przedsięwzięcia krawiecko-kuśnierskiego „Gracja”. Okleisto łączyło salę rotacyjną z ekspedycją i było wszystko w porządku, nikomu nie

przychodziły do głowy epitet w rodzaju „chałupnictwo”, jak że nakład „Standardu” sięgał wtedy trzydziestu tysięcy, odpowiadając lubelskim potrzebom. Po wybudowaniu drukarni przy ul. Unickiej ekspedycja prasy przeniesiono do dzisiejszej siedziby. Za kilka lat, w związku z planowanymi wzniesieniem centrum prasowego, które pokryje dachem redakcję, drukarnię i dział kolportażu, zniknie zapewne ekspedycja przy ul. Bucaka.

27 lat Szczepan Mazur śle gazety na teren województwa. Od początku do dziś — wyłącznie nocami. Nie chorował i nie choruje. Podczas zmiany wypala 28 papierosów. Dziś pojdzie do domu o szóstej, albo później. Zje coś, poczyta. O trzynastej pobryka się spać. Wstanie ok. dziesięć, wstanie, szykując się do pracy. Zacznie ją o dwudziestej lub o dwudziestej pierwszej. Na czysto zarabia dwa i pół tysiąca. Kibicuje zuzłomcom, lubi kolarstwo, piłki nie ogląda, na ryby nie ma czasu i chęci. Spi przeciętnie 3-6 godzin na dobę i mówi, że to mu w zupełności wystarcza.

— Kierowcy, panie, pojedź tu u mnie tydzień, na nocnej, panie, i już nie mogą wytrzymać. A ja mówię „ja wytrzymuję”, a on na to „ja bym nie wytrzymał”. Rodzinę? Mam. Lat? Sześdziesiąt dochodzi.

Piętnaście minut po drugiej ostatni wóz wyjedzie na trasę, spod plastikowego daszku znikną worki i paczki z prasą. O godzinie trzeciej kobiety pójść do domu. Kierownik Mazur sprawdzi dokumentację, zatelefonuje do Zamościa, że pomyłkowo Warszawa posłała im za dużo worków, więc niech zwrócą, aby nie obciążono nimi Janowa. Sytuacja powtórzy się — wyłączając worki — jutro, za tydzień, za rok. Zapewne, inaczej będzie zbudowany harmonogram, inne wozy pojadą w teren, może zmienią się trasy, może drukarnia skończy druk wydania terenowego znacznie przed drugą godziną, może transport prasy centralnej odbywać się będzie przy pomocy helikopterów. Ale ludzie, z którymi rozmawiałem, nie wyobrażają sobie ekspedycji wojewódzkiej bez postaci Szczepana Mazura. Osobiście będą bardziej powściągliwi: wyobrażam

sobie, jak skonane byłyby kobiety z ekspedycji bez najwycyńniejszej, fizycznej pomocy Mazura, bez jego zmysłu do racjonalnej organizacji pracy.



Jadwiga Krasieka: „Ciężka praca, niech pan zapyta...”  
Fot. CAF (Z. Jańkiewicz)

Godzina druga: ciężarówym „Starem” wyjeżdżam na trasę Krasnystraw — Zamość — Tomaszów. Kierowca ma lat 28, nazywa się Czesław Skrowis, żonaty, jedno dziecko, od roku wozi prasę. W Tomaszowie będzie ok. piątej, odda, co trzeba i powróci do Lublina, kolując do jednostki po mieście.

Pierwsze kilometry: papierosy, informacje w rodzaju „jakos się tje”. W Krasnystrawie prasę odbierają Kazimierz Kaczmarski, Działek i kierowca furgonki, Ryszard Łozna. Fatalne warunki: rozdzielni mieści się w głębokiej piwnicy, więc prasę wnosi się po schodach, a potem wynosi; ludzie klną. Po 10 minutach odjadą do Zamościa.

Na trasie: papierosy i rozmowa o walorach „Stara”. Gadanie o robocie absolutnie nie podnieca kierowcy, robi się i to wszystko. Żadnego ciekawszego wydarzenia nie miał.

Zamość: nowy, duży budynek Rejonowego Oddziału „Ruchu” z dogodnym podjazdem prawie pod same drzwi rozdzielni, gdzie pracuje już kilka kobiet oraz mężczyźni. Zygmunt Pupa i kierownik sekcji prasy Henryk Todorczuk, który ubolewa, że nie daliśmy wcześniej szansę o publikacji reportażu „Ruch” na temat Sześćdziesiąt. „Ruch” to się do miasta kilkaset egzemplarzy „Kamery więcej”. Todorczuk pracuje w „Ruchu” 13 lat. „Robota jest coraz cięższa, a statów nie przybywa”. Kryzys prasy? „Nieprawda, czytelnictwo rośnie wraz z rozwojem telewizji, wiele tytułów sprzedaje się spod lady, np. „Przegląd”, „Płomyk”, „Mł”, „Forum”, „Motor”, a najciekawiej, że i „Głos Nauczycielski” mamy za mało, choć podobno szukamy się w kraju do rewolucji w szkolnictwie”.

Tomaszów: warunki bodaj najgorzej w całym województwie, paczki z prasą trzeba tachać wysoko, po trzeszczących schodach, aby je następnie, rzecz jasna, znieść później na dół. Maszynny rozrząd nie po całym mieście, ich sześć robi dziennie po kilkanaście kilometrów. Cały oddział mieści się w trzech pokojach, 12 punktów sprzedaży w samym Tomaszowie i aż 74 w powiecie; czytelnictwo na wsi większe niż w mieście, co jest ewenementem w skali województwa, a może kraju!

Koniec trasy, zbliża się szóstka. Kierowca zwraca do Lublina i pyta mnie, po jakiego diabła włóczę się po nocy, kiedy nie się ciekawego na świecie nie dzieje?

Ireneusz J. Kamiński

## Język się optaca

PRZECIĘTNY Polak to niemowa — alarmowała prasa przed kilku laty, kpiąc z nieznajomości języków obcych u obywateli. Ci zaś wcale się nie przejmowali pohukiwaniem publicystów, albowiem umiejętność posługiwania się obcym językiem była w gruncie rzeczy sztuką dla sztuki, czynnikiem mało przydatnym w praktyce. Na serio wzięliśmy sobie to pouczenie dopiero z chwilą przemiany kilku fikcji w rzeczywistość. Kiedy znajomość języka zaczęła się optać, zabraliśmy się do nich na serio, co wcale nie znaczy, że np. co trzeci Polak to poliglota, a umiejętność posługiwania się drugim językiem stała się społeczną normą.

Zaniedbania lingwistyczne miały też bardziej konkretne źródła. W pewnym okresie na kilku uniwersytetach krajowych zlikwidowano wybrane kierunki neofilologii, co doprowadziło do ograniczenia i tak szczerpie kadry nauczycieli języków w szkołach średnich. Skutki tych decyzji występują i dziś jeszcze — mimo późniejszej reaktywacji owych kierunków. Dopiero sześć lat temu na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej otwarto anglistykę, rok później działu rusystyki. Od nowego roku akademickiego rozpoczyna się zajęcia na romanistycę, a w niedalekiej przyszłości — zapewne na germanistycę, jeśli uda się pozyskać kadry.

Brak wykładowców uniemożliwia nauczanie języków zachodnich w niektórych szkołach średnich, bywa jednak, że równie bezowocne są poszukiwania rysycystów, co wiąże się z nieobecnością tego kierunku w przedwojennej strukturze studiów uniwersyteckich, a z drugiej strony — z powszechnością nauczania języka rosyjskiego po wojnie, wymagającej licznej kadry. Dodajmy, że program nauczania wyklucza języki obce z ostatnich klas techników.

W rezultacie na uczelnie trafia młodzież o szalenie zróżnicowanym poziomie opanowania języka obcego — od bardzo dobrego do żadnego, co zmusza lektorów do stosowania elastycznego systemu dydaktyki: chodzi tu oczywiście o słuchaczy kierunków poza-neofilologicznych. Z reguły wszyscy absolwenci szkół średnich uznają się za początkujących w dziele opanowania języka, aby tylko trafić do grupy elementarnej. Taka lokalizacja była do niedawna możliwa wobec pełnej swobody wyboru lektora, wobec braku kategorycznego zalecenia kontynuacji poznawania języka, którego uczyło się w szkole. W liceum wzbilano ci angielski, więc nie chcą trafić do uniwersyteckiej grupy dla zaawansowanych, uciekają do początkującego zespołu „Fragułów”. Co, biorąc pod uwagę zarysowaną „sytuację językową” w pewnej grupie szkół średnich, głównie w technikum, nie budzi specjalnego zdumienia. Od pewnego czasu funkcjonuje jednak zarządzenie o kontynuacji nauczania języka, co z dniem lektorów Studium Praktycznej Nauki Języków Obcych UMCS w poważnym stopniu powinno wpłynąć na polepszenie stosunku młodzieży i nauczycieli szkół średnich do sprawy przyswajania i przekazywania wiedzy o języku. Traktowanie lektora już w samych uczniach jest także inne, niż przed laty.

Pięć — siedem lat temu nie do pomyslenia było, aby student repetował rok z powodu „obłania” lektora; przyswajano się do niego, dając, ciągnąc delikwenta za język, aby choć skłcił zdanie o mister Browne i jego rodzinie, żeby „zapałał” coś o szampańskich „pejanach”. Dziś zdarzają się tacy repetenci, co samo w sobie nie jest oczywiście powodem do radości, ale w jakiś sposób ilustruje poważniejszy stosunek do sprawy.

Nauczaniem języków na UMCS zajmują się lektorzy wspomnianego Studium, które obchodziło niedawno dwudziestolecie działalności. Od pięciu lat kierowane przez germanistkę, mgr Ritę Malcher, zatrudniona 30 osób i ma charakter jednostki międzywydziałowej, podlegającej bezpośrednio prorektorowi do spraw nauki i nauczania; historycznie rzecz biorąc wywodzi się z lektoratów, kierowanych przed laty przez prof. dr. Narcyza Lubnickiego, który zresztą sam nauczał języka rosyjskiego.

O efektach dydaktycznych Studium mogą świadczyć konkretne fakty: pierwsze miejsce studenta

UMCS na ostatniej olimpiadzie językowej w grupie angielskiej; bardzo dobre wyniki egzaminów na pilotów wycieczek zagranicznych; rozpoczęcie studiów neofilologicznych przez absolwentów innych kierunków, co może wzmocnić kadre, nieliczną obecnie, tłumaczy z literatury fachowej.

Trudności natomiast, a jakże, są i, jak przystało na jednostkę lubelską, mają charakter materialno-przestrzenny. Mimo przyzwyczajenia wyposażenia w aparaturę dydaktyczną (magnetofony, grafoskopy, epidiaskopy etc.) Studium nie dysponuje gabinetami językowymi i każdorazowo lektor musi tachać owe nowoczesne pomoce naukowe przez miasto, jako że wydział UMCS rozrzucone są w różnych punktach Lublina; rozrzucone są w tej kwestii zmienić, nieustannie życzyli Studium władze uczelniane zalecały dziekanom rozpatrzenie możliwości wydzielenia gabinetów — choćby wydziałowych. Kolejnym następstwem ograniczeń metraowych jest tłok w grupach językowych: optymalna wielkość sprowadza się do 12-15 osób, tymczasem grupy liczą 20 i więcej. Istnieją też kłopoty innego rodzaju, związane z niemożnością pozyskania przyzwolonej o b u d o w y, czyli podreczników uniwersyteckich na nauki języków, filmów, nagrań, przeźroczy. Paradoks, ale dotyczy to języka rosyjskiego (całością dydaktyki kieruje mgr Janina Świdarska), w skądinąd dobrze zapozatrzonej w książki księgarniach rosyjskich brakuje pozycji do nauki tego języka, jeśli nie liczyć dostępnych lektur. Podobne trudności przeżywa francuski (zespolem, w którego skład wchodzi też łacina, kieruje mgr Otylia Batorska). Braki dewizowe nie pozwalają na sprowadzanie nowych podręczników, te, które są, liczą sobie po dobrych kilka lat od chwili wydania, co odbija się również na ich stanie fizycznym. Z podobnych względów nagrano na taśmę tylko pierwsze 24 lekcje, a próba o udostępnienie dalszych, skierowana do źródła, czyli do paryskiej Sorbony, nie spotkała się z przychylną odpowiedzią. Niemniej widoki są wesołe, a to w związku z rychłym otwarciem romanistyki, co budzi zrozumiałe zainteresowanie ambasady francuskiej. Przy okazji warto poinformować o wprowadzeniu nowej metody nauczania łaciny, obowiązującej na prawie, historii, polonistyce, angielskim i rosyjskim. W jej ramach łacina jest językiem mówionym, konwersacyjnym!

W lepszej sytuacji znajduje się zespół angielskiego mgr Marii Charnasowej, pozostający w bliskim kontakcie z British Council w Warszawie; darmowe wypożyczenie taśm magnetofonowych, łatwy dostęp do podręczników, tekstów intonacyjnych i materiałów z ćwiczeniami gramatycznymi zapewnia efektywność procesu dydaktycznego, zwalniając zarazem lektorów z konieczności partyzanckiego zdobywania potrzebnych pomocy. Zespół języka niemieckiego jest w bodaj najlepszej sytuacji, zarządzającą do świetnemu zapozatrzeniu księgarni Ośrodka Kultury NRD w Warszawie.

Jeśli chodzi o uzdolnienia studentów, to najbardziej uwrażliwieni językowo są fizycy — „zdolni, inteligentni, pracowici, przyzwyczajeni do systematycznej pracy” — natomiast fatalnie przedstawia się ta sprawa wśród ekonomistów, z reguły źle przygotowanych przez szkołę średnią, aczkolwiek ten właśnie kierunek jest najbardziej obciążony językowo: cztery semestry — cztery godziny tygodniowo plus dwa semestry — dwie godziny, czego kandydaci na studia jakoś nie biorą na serio, popadając później w rozliczne tarapaty.

Na koniec trzeba wspomnieć, że lektorzy Studium podnoszą nie tylko studentów, ale i własne kwalifikacje podczas kursów krajowych i zagranicznych, przez hospitacje i omawianie prowadzenia zajęć dydaktycznych, a także przez doskonałe metodyczne w ramach zespołów, obradujących w „oryginalnym” języku danej grupy. Początkowo lektorzy ponosili niemal wszystkie koszty uczestnictwa w językowych kursach zagranicznych, obecnie nie dokładają do tych kosztów. Świadczy to o ostatecznym uznaniu rangi nauczania języków obcych wśród studentów. (Taki kurs kosztował niegdyś anglistę 7 tys. zł.)

WICEPREMIER Tomal, wybierając się na półtowarzystwo — jak sam to określił — spotkanie z członkami dziennikarskiego Klubu Ochrony Środowiska, nie przypuszczał zapewne, że w ciągu trzech wieczornych godzin przyjdzie mu odpowiadać na prawie sto pytań. I to pytań bardzo różnego rodzaju. Niżej podpisany chciał się np. dowiedzieć, czy i ewentualnie kiedy środki na gospodarkę komunalną, a w istocie na ochronę środowiska, będą docierały do rad narodowych nie poprzez resorty i fabryki, które w ten sposób wygraży tylko własne interesy. Wicherek-Nowicki dopytywał się o losy jakiegoś 10-hektarowego lasu w pobliżu stolicy. Kolega z Olsztyna niepokoił się kolejno piętnastu jeziorami tego województwa, ktoś z Kielec irytował się, że górnictwo chce dostarczać do Koźlenia mocno zanieczyszczony węgiel, co grozi wyniszczeniem okolicznych lasów. I wicepremier tylko raz odpowiedział: nie wiem. Inne sprawy miał, jak się to mówi, w małym palcu.

Otóż wygląda na to, że my w Polsce zmagamy się na czas i jeszcze nie grozi nam biologiczne samobójstwo, o czym coraz głośniej w wielu państwach świata. Pod warunkiem, że będziemy wszyscy, dosłownie wszyscy, wykorzystywali możliwości, jakie właśnie otrzymujemy do dyspozycji.

## Półtowarzystwie rozmowy o środowisku

Najważniejszą sprawą jest chyba ta, że problemy ochrony środowiska weszły już do naszych planów pięcioletnich jako jeden z najważniejszych ich elementów. Świadczy o tym trzy fakty: 1) działa już komisja ekspertów z udziałem wice ministrów wszystkich resortów, która przygotowuje raport o stanie ochrony środowiska, 2) władze centralne nie zezwolią na prowadzenie żadnych inwestycji, która mogłaby — nie posiadając odpowiednich zabezpieczeń — wpłynąć ujemnie na środowisko, 3) do każdego rachunku ekonomicznego w przemyśle, budownictwie czy innej dziedzinie gospodarki będą coraz powszechniej wdrażane elementy ekonomiczne ochrony środowiska.

Tu wyjaśnienie w sprawie ostatniej. Dotychczas o lokalizacji czy rozbudowie jakiejś fabryki decydowały sprawy finansowe, tzn. przewidywany zysk danej fabryki. Ale teraz od tego zysku będzie się odliczało ewentualne straty, jakie działalności tej fabryki przyniesie w zatruceniu powietrza, wody, zanieczyszczeniu lasów czy innego szkodliwego wpływu na całościowo pojętą przyrodę. Przez instalowanie odpowiednich urządzeń zabezpieczających przyrodę koszt inwestycji niewątpliwie wzrośnie, czasem inwestycje trzeba będzie zlokalizować w innym miejscu niż to wynikałoby z rachunku zakładających czy nawet resortowych ekonomistów. Ten niechciany już zaczyna działać i tylko można sobie życzyć, aby podobnie zaczęły postępować w swoim zakresie władze terenowe.

Środki, przeznaczone na ochronę środowiska, rosną niezwykle szybko. W roku 1971 wyniosły one 1650 mln złotych, w roku bieżącym — 2 807 mln, w latach 1974-1975 już 6 259 mln. Następna pięcioletka to dalszy skok naprzód. Teraz chodzi o to, aby te otrzymane środki w pełni i efektywnie wykorzystywać. Ale mimo wszystko miliardy to nie

rodzka czarodziejska. W ciągu kilku dziesięcioleci nagromadziły się takie zaległości, że w tym dziesięcioleciu stawiamy sobie za cel główny nie dopuszczenie do dalszego pogarszania warunków, a radykalnego polepszenia oczekiwać należy dopiero po roku 1980. Jak twierdzą nie tylko krajowi specjaliści, jest to jeden z ambitniejszych w świecie zamiarów.

To nie żadna przesada. Jesteśmy przecież w okresie gwałtownego rozwoju naszego przemysłu, trzeba się liczyć z dalszą chemizacją w rolnictwie i w gospodarstwach domowych, postępującą urbanizacją itd. Jeżeli mimo to zdołamy się uchronić przed dalszym niszczeniem naszego środowiska — sukces będzie godny pochwały.

Tylko nie zwalajmy wszystkiego na państwo! Wystarczy w poniedziałek pojechać do Zemborzyc, lasu pod Niemcami czy nad jezioro Białe, by stwierdzić, jak bardzo naszemu społeczeństwu jako całości brak kultury w ochronie środowiska.

A oto kilka informacji z tekstu, dostarczonego nam przez także obecnego na spotkaniu ministra Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska, Pół, które wydziałają się z wszystkich komitetów w naszym kraju, waga — bagatel! — prawie 4 miliony ton w ciągu roku, gazy zaś (głównie najbardziej szkodliwe związki siarkowe) prawie 3,5 mln ton. Większość naszych rzek jest zatruta w górnej granicy normy lub powyżej. Co trzecia z wybudowa-

nych w ostatnim dziesięcioleciu oczyszczalni ścieków już okazała się zbyt mała. Erozja wietrzna niszczy nam w kraju około 100 tys. ha powierzchni, a erozja wodna zabiera z gleb rolnych rocznie tyle związków pokarmowych, że można to przeliczyć na około 300 tys. ton nawozów mineralnych. Nie mamy w kraju ani jednej spalarni śmieci, a większość wysypisk nie ma żadnych zabezpieczeń.

Nie bez pewnej satysfakcji chciałbym też napisać o własnych pytaniach. Już kilkakrotnie wyrażałem na łamach „Kamery” wątpliwości, czy słuszna jest zasada tzw. polityki cypacji przemysłu w rozbudowie urządzeń gospodarki komunalnej zamiast centralnego przekazywania tych samych środków poprzez jednego gestora w terenie — rady narodowe, a na szczeblu centralnym przez Min. Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska.

Ta zmiana zostanie wprowadzona z początkiem przyszłej pięcioletki. Otrzymałem także zapewnienie, że to właśnie w naszym województwie powstanie pierwszy w kraju jej szczególnie intensywny gospodarki, który od początku będzie wyposażony w kompleksowy program pełnej ochrony środowiska — i że ten program także od początku będzie kalkulekowi realizowany.

Na zakończenie ciekawostka, która zadziwiła i weszła w wszystkie obecne. Otóż po pierwszy zdarzyło się, że władze wojewódzkie odmówiły wydania lokalizacji na wielomilionowy inwestor nie wyposażony projektowaną fabrykę, inwestor nie wyposażony w środki, zapewniające wystarczającą ochronę środowiska. Inwestor się obraził, ale Prezydent Włocławka, Kiełbaso, uważa słusznie, że zrobił dobry interes. Oby znalazło nasza dowość!

(dost)



S tal u progu alei. Potężne lipy uginają się pod ciężarem dojrzalego lata. Ich rozłożyste ramiona tworzyły zielony szpaler nad aleją, tak zbity, że promienie słoneczne tańczyły na żwirze alei drobnymi plamkami rozbitego ciepła. Dokoła fioleń i niebieskość i szmaragdowa zielen. I wiatr delikatny na wysokości twarzy.

Aleja pachniała ciszą popołudnia. Przecinała olbrzymie jezioro pszeniczne, od którego niósł się zapach gorąca.

Jest wolny, może robić, co chce. Położył się w rowie. Oglądać lub wygłansowane aż oczy same zamykają się przed jasnością lasu. Wejść w życie i rozczepiając zboże iść na ukos w stronę miasta.

Mógł autobusem wrócić do miasta, zaoszczędziłby sporo czasu, ale wolał przejść się

na dół. Chłód i spokój, jaki panował w gmachu, przyjemnie nań oddziałali. Wszedł na salę widowiskową i siadł w ostatnim rzędzie. Przysłuchiwał się próbie. W czasie przerwy podszedł do reżysera, przedstawił mu swoją prośbę. Chętnie zagrałby coś, obojętnie co.

— W tej chwili mam wszystkie postacie obsadzone. Gramy Broszkiewicz „Skandal w Heidelbergu”. Sztuka na czasie. Mam pewną rzecz, którą zamierzam opracować, ale to na razie w sferze zamysłu scenicznego. Nikomu o tym jeszcze nie mówię. Może to dać na małą scenę. Wiesz, jeżeli chcesz zaryzykować, kup książeczkę Dürrenmatta pod tytułem „Kraska”. Pomyśl o roli Trapsa. Trapsa.

Postanowił wybrać się do Lutka Gawrońskiego, u którego zamierzał pracować kil-

ku by jeszcze w zakładzie. Chodził po ogrodzie, albo po dziedzińcu. Rosło tam kilka rachitycznych drzew. Śladywał w ich cieniu. Zamykał oczy, aby oderwać się od widoku wysokiego muru, który otaczał dziedzińiec. Często spotykał starego człowieka, który oparty o drzewo wpatrywał się w mur, niekiedy podchodził doń i długo przyglądał się ogrodzeniu, po czym odchodził. Widok tego starego przyprawiał go o strach, bo myślał, że na stare lata może ten sam los go spotkać, buntował się przeciw tej myśli. Nie! Nie! Nigdy tutaj nie wróci, nigdy! Tam za murem jest życie, tutaj ułmianie. Dziedzińiec jest rozległy jak stół, na którym rozsypano grubą warstwę piasku. Kępa drzew, klomby, wszystko to oblane gorącem. Kilku mężczyzn grał podwórce. Wystarczy odwrócić się, aby ujrzeć pielęgniarza. Uciec!

tal się ze swoimi myślami. Gdyby była Teresa. Przegrał ją. Pozostała mu jeszcze sztuka, talent.

Sięgnął po książeczkę, którą kupił rano i zagłębił się w lekturze. Przeczytałszy nowelę zaczął zastanawiać się nad jej scenografią.

Opowiedział mi gotowe dialogi, wystarczy odpowiednio przygotować całość. O tak, rola Trapsa odpowiada mi, musi ją zagrać. Już wie, jak powinien być w tej roli, w którym miejscu wyciszyć głos. Zaraz jutro rano pójdzie do reżysera i powie mu, że warto przygotować Trapsa na małą scenę. Po dłuższej przerwie sztuka pójdzie, chwyci na pewno.

Zmierzył położył się gęstą mgłą w pokoju, obrazy i przedmioty nakryły się miękką masą, wślizgiły w głąb, nabierając przedziwnych kształtów. Słyszał, jak w sąsiednim po-

# Za murami jest gorące słońce

Zbigniew Strzałkowski

plezso. Chciał mimo wszystko odwlec moment spotkania się z Teresą i przyjaciółmi. Nie uprzedził jej. Czuli, że ich przyjaźń, a może raczej miłość, przepadła. Od ponad miesiąca nie przychodzili do odwiedzać do zakładu. Z początku tłumaczył sobie, że mogła zachorować, wysłał list, ale nie dostał odpowiedzi. Tylko Teresa była mu życzliwą osobą.

Aleja kończy się łagodnym zjazdem do drogi wyłożonej kocimi łbami. Widać już pobliskie domki ustawione w równym rzędzie. Z lewej strony wzniesienia kępa drzew stara się zasłonić matowy kask wieży cerkiewnej. To chyba od tych wąziutkich szparek w starym murze biegnie głos dzwoni. Równy. Międko. Kołysząco. Jak w akcie śmierci Ulisses, którego grał jeszcze wiosną. Ulisses, młody jeniec spartański, czeka śmierci. Śmierć ma przyjąć o świcie. Kiedy odzwaja się dzwony, Ulisses wygłasza najpiękniejszy wiersz w dramacie. Jest w nim ustęp, który zawsze budził w nim głębokie wzruszenie. Widownia też uległa nastrojowi poezji. Mówi Ulisses: „Gaje pachnące wiatrem, jeśli was zapomniał, niech zapomniał mojej prawicy, gaje cień kładące na moje oczy, jeśli mowy waszej zapomnę, niech mój język przyschnie do podniebienia, gaje szmaragdowe, gaje purpurowe, oto siedzę nad wielką rzeką i oplakuję was, gaje szmaragdowe, gaje purpurowe...” Widownia zamarła. Słyszał westchnienia, widział jak starsza kobieta ukradkiem ociera łzy. Gdy zszedł ze sceny reżyser uściskał go serdecznie: „Wspaniale! To było przejmujące! Urwemy poemat na tym wersie”. Wieczorem oblateli premierę. Teresa mu również gratulowała. Codziennie, ilekroć dochodził do tych słów, ogarniał go porywający ogień poezji, spał w nim wszystkie momenty, aż pozostała ta jedna myśl — ofiara. Ulisses, oddaje młode życie, aby ratować życie tysiącom ludzi z wiosek i miasteczek górzystej Sparty.

Teraz on, Ulisses-Fred, stoi na małej uliczce, jakby na pustej scenie. Cisza. Nie słychać okłasków. Nikt się do niego nie uśmiecha. Jest sam. Sam się skażał na to wygnanie. Teresy nie ma. O jej wyjeździe dowiedział się przed chwilą. Od jej gospodyńi. Wyjechała, ale dokąd, nie wie, nie, adresu nie zostawiła. Wyjechała na zawsze. Również i jego gospodyńi sądziła, że nigdy nie wróci. Pokój wynajęła innym, a jego rzeczy zabrali ci z teatru. Nie pozostawało nic innego, jak pójść do teatru. Mógł przewidzieć taki obrót.

ka nocy aż nie znajdzie odpowiedniego pokoju. Po drodze wstąpił do księgarni i kupił nowelę Dürrenmatta. Lutka Gawroński — ni to poeta, ni to malarz, błądzą, filozof i opór — mieszkał od wielu lat u swej ciotki, która przywykła do jego rozmaitych kawali. Tolerowała je wierząc, że bratanek okaże się niepoświadczonym talentem. Wierzyła w to, z czego on kpil: „Joanna ma złote ręce. Jeżeli kiedykolwiek napisze coś o Joannie d'Arc, będzie to poemat na cześć mojej pocziwej Joanny.”

Kobieta nie zdziwiła się zbyt jego przybyciem. Spytała, dlaczego wcześniej do niej nie zachodził po śmierci Lutka. Spojrzył na nią zdumiony. O jakiej śmierci Lutka opowiada? No, racja, nie było go blisko pół roku, pracował w teatrze na Pomorzu, skłamał, ale co się stało z Lutkiem? Właśnie dzisiaj przyjechał i wpadł do Lutka, chciał go odwiedzić i ją, a przy okazji spytać, czy mógłby na kilka dni zatrzymać się. Wszedł do pokoju zastawionego meblami. Stwierdził, iż nie się w nim nie zmieniło. Przez

Dnie wlokły się. Różne pomysły przychodziły mu do głowy. Ratawał się czytaniem prasy, książek, próbował coś pisać, to znów recytował fragmenty ról, które grywał. Któregoś dnia wezwano go do kancelarii. Z niepokojem czekał, co też usłyszy od lekarza. Uważnie śledził ruchy lekarza, który przeglądając teczkę z dokumentami. Ziocista oprawa binokli jeszcze bardziej podkreślała szlachetność jego twarzy. Był gotów, jeśli zajdzie potrzeba, prosić lekarza, aby zwolniono go wcześniej. Sam zdaje sobie sprawę z sytuacji, w której się znalazł. Lekarz spojrzął na niego uważnie: „Jest pan u nas już dość długo — zrobił wyciekającą przerwę — No cóż, nie z naszej to winy. Pan jest młodym człowiekiem, więc nie chcę panu prawa kanzana, bo sam tego nie znosiłem — uśmiechnął się — ale muszę pana bodaj ostrzec. Wystarczająco chyba pan się natrapzył tutaj do czego doprowadza wódka. Szkoda dla niej poświęcać talent — podkreślił mocno ostatnie słowo. — To wszystko. Może pan choćby zaraz opuścić zakład. Pro-

koju ciotka Lutka krząta się, coś mówi do kota. Po chwili posłyszał, że puka do jego drzwi, poprosił, żeby wszedła.

— Zrobiłam herbatę. Może pan ze mną się napije.

— Chętnie. Dziękuję bardzo.

Podwieczorek zszedł im na miłej rozmowie. Kobieta wspominała czasy swej młodości, którą spędziła w Odessie i Warszawie. Pamiętała wielu aktorów rosyjskich i polskich, wymieniała sztuki, w których grał. Podziwiał jej pamięć. Musiał przyznać, że nie jest wcale tak skapaniała, jak sądził. Białe włosy spięte w kok i okryte czarnym szalem nadawały jej twarzyczce dzieciniego spokoju. Było w niej coś z ikon, delikatny smutek. Przypominała mu portret matki, jaki pamiętał z dzieciństwa.

Podziękował za herbatę i wrócił do swego pokoju. Przejrzał listy, które znalazł w neseserze, wiele z nich było nieaktualnych. Kilka pisała Teresa, przeczytał je. Czulił do niej, że bez słowa odjechała, opuściła go, uciekła. Odłożył jej listy na te, które postanowił wyrzucić. Przyszłość pozostała w nim na zawsze, nie zatrza jej, ale może odsunąć. Zamknął ważny rozdział swego życia i nie chce do niego wracać.

Przejrzał ponownie tekę rysunków Lutka, znalazł w niej sporo karykatur znajomych. Przez otwarte drzwi balkonowe napłynęła muzyka, wyszedł na balkon. Ogród tonął w ciszy. Zza drzew przedzieralo się światło ulicznej lampy. Odległy szum miasta przepłynął wierzchołkami drzew. Wrócił do pokoju i postanowił wypisać z noweli tekst, jaki wygłasza Traps. Przeczytał go na głos, spróbował zagrać krótki dialog.



Rys. Z. Strzałkowski

Szedł powoli ulicami. Rozważał, jak ma przeprowadzić rozmowę w dyrektora teatru. Głupio się wkopał. Stracił zaledwie pół roku. Uśmiechnął się — pół roku w życiu miasta to niewiele, ale dla niego. Musi się wziąć w garść. Jeszcze nic straconego. Jest młody. Przypominał sobie nagłe rozmowę z Teresą. Opowiadała mu o Tacku i jego nagłej śmierci: „Widzisz sam, do czego doprowadziła go wódka. Zresztą wiesz, jak to zaczęło, od Kapliczki. Bał się wszystkiego. Opowiadała mi jego siostra, że ostatnio nie opuszczał domu. Tak zdziadził. Wiedział, że dla niego nie ma już ratunku. Bronił się rozpaczliwie, ale cóż to za obrona! Pokusa była silniejsza. Pił wszystko, co wpadło mu do ręki. Przyszły ataki wątroby. Po którymś kolejnym ataku zmarł w szpitalu”. Wiedział, dlaczego Teresa mu opowiadała tę historię. Nieraz sprzeczała się. On wytykał jej, że stanowczo za dużo pali, ona wspominała mu, ile pieniędzy tracił z kolegami. Nie lubił, kiedy zwracała mu uwagę, chociaż przyznawał jej w duchu rację. Kochana Teresa, fajna babka — pomyślał o niej ciepło. Czy byłoby szczęśliwi ze sobą? Może. Mogło jej się zdziwić ciągłe wyciekanie aż się zmieni, a na dodatek do leczenia... psia krew.

Jak przewidywał, rozmowa z dyrektorem teatru nie należała do przyjemnych. Musiał przedstawić zaświadczenie, jakie otrzymał w zakładzie. Dyrektor uśmiechnął się do niego wyrozumiale, ale odebrał to jako bezradne stwierdzenie, iż w tej sytuacji niewiele może obiecać, przyszło sporo młodych, owszem, zrobi, co będzie mógł, a na razie niech porozmawia z reżyserem Zawadzkiem. Zszedł

uchylone drzwi widział drugi pokój, w którym zwykły pracować Lutka. Pod oknem stały obrazy, obok sztaluga.

— Nigdy mnie nie chciał słuchać, nigdy, a tyle razy prosiłam: Lutka przestań pić! Nie daj się wciągnąć w złe towarzystwo, ale, jak groch o ścianę! Wracał nocą pijany i nie wiadomo, jak było. Spadł ze schodów... zabił się.

— Kiedy?

— Trzy tygodnie temu. Wszystko zostało — wskazała ręką na sąsiedni pokój.

Wiadomość ta sparaliżowała go. Patrzył przybity na kobietę, jak ociera łzy, a jej drobne ręce niespokojnie obracają chusteczkę. Nie wiedział, co ma powiedzieć, próbował jakoś pocieszać.

— Stalo się — rzekła. — Wychowałam go od dziecka, matki prawie nie pamiętał. Kochałam go. Wierzyłam, że zostanie malarzem, widział pan jego ostatnie obrazy, proszę, chodźmy, pokażę. On był roztrzępany, ale dla mnie był dobry. O, ten dopiero zaczął, świetny, prawda?

Patrzył niby to z zaciekawieniem na obraz stojący na sztaludze, lecz myśl jego powtarzała ostatnią wiadomość. Trzy tygodnie te-

szę zalać wszystkie formalności, dokumenty odbierze pan z kancelarii.”

Laził po pracowni Lutka nie bardzo słuchając, co ciotka mówi. Nawet nie przypuszczał, że Gawroński był tak pracowity. Znalazł tekę pełną rysunków z dowcipnymi podpisami, co wywołało w nim miłe wspomnienia. Pamięta wiersz Lutka „Merde”, który narobił tyle wrzawy w ich literackim świecie. Zamknął tekę i położył ją na komodzie. Nagle przyszło mu na myśl, czy nie zamieszkać u tej kobiety. Zapytał, czy zgodziłaby się wynająć mu pokój na jakiś czas. Nie miała nic przeciw. Pokazała, gdzie mógłby ustawić łóżko, stół. Oczywiście obrazy mialyby w tym pokoju pozostać, na co zgodził się. Pokój przypadł mu do gustu, o czym wspominał, co ucieczyło kobiecie.

Po godzinie wrócił niosąc ze sobą walizkę i duży neseser. Szybko rozpakował się. Pomógł przestawić meble, a potem zmienił pościel. Kobieta wyszła przygotować herbatę. Położył się na łóżku. Był wolny, lecz czuł w sobie pustkę. Przed chwilą będąc w teatrze rozmawiał z kolegami, wstąpił nawet do Kapliczki na kawę. Dowiedział się o ostatnich plotkach, rozeszli się. Pozostał sam. Jak ptak wypuszczony nagle na wolność trzepo-

Przebudził się. Czerń. Czerń. Wiatr kołysze gałęzie drzew. Przecież śpi w pokoju Lutka. Tak. Tak. Wszystko w porządku. Lutka już nie ma. Teresy nie ma, Lisiecki i Rybkowski przenieśli się do Koszalina. Jest sam. Jest wolny. Wolny. Od jutra zacznie nowy rozdział swego życia. To jego sprawa osobista. Pierwszą batalię przegrał.

Otworzył oczy. Pokój tonął w słonecznej pieśni. Za oknem rozlegał się głośny śpiew ptaszat, co nastroiło go radością. Szybko się ubrał i wyszedł z domu. Idąc przez park spotkał Hanie Lewitan, koleżankę Teresy. Była zaścianek tym spotkaniem. Nic nie wie o Teresie, obiecała do niej napisać, wyjechała do Olszyna. Pożegnali się.

Zdażył przed próbą zobaczyć się z reżyserem. Opowiedział o swoich propozycjach odnośnie Kraski i roli Trapsa. Chętnie zagra, wie już jak chciałby go kreować.

— Dobrze, pogadamy o tym szerzej po próbie, dobrze. Bądź o dwunastej u mnie. Słuchaj Fred, wczoraj dzwonił do mnie wieczorem z domu kultury, chciał kogoś do poprowadzenia zespołu, jaki utworzyli. Pomyślałem o tobie, co ty na to?

— Dobra, pójdę z nimi obgadać. Dziękuję ci.

Zaczekał aż reżyser wszedł na salę. Usiadł w hollu, zapalił papierosa. Czulił w sobie spokój.

## Henryk Kozak

Jutro wyjeżdżam i nikt nie potrafi mnie tutaj zatrzymać miasto wymarłe z dziwką nie można żyć nie umiem także robić pieniędzy Walizek nie pakuję bo ich nie mam nie mam także wielu innych rzeczy na przykład wyraźnie skryształizowanych poglądów samochołdu kochanki

o miedzianych włosach i nikt nie śmieje się ze mnie po nieudanej miłości

Nie wiem także co człowiek w moim wieku i na moim stanowisku jak mówi matka powinien mieć

Od jutra będę mieszkać na wsi będę zbierał motyle pisać uczone traktaty we wrzosach z wrzosem się wylegiwać ciekawe czy to mi pomoże ciekawe czy to mi zaszkodzi

## Henryk Makarski Doradcy moi

cóż was obchodzi — lewą idąc stroną a przecież tylko mijam — nie wyprzedzam za mną — pustynia i mosty już płoną przede mną — przez was wydeptana przejąć

idziemy obok — jedną stroną drogi lecz kto z nas tyłem idzie a kto przodem patrzę — nie widzę — słychać tylko skowyt twarzy ukrytych w strusich chmurach sady

idę przed siebie — każdy nowy zakręt jest mojej drogi końcem i początkiem jest nieufnością niepewnością ryzykiem

idę przed siebie sam z radością swoją że gdzieś tam dojdę nad ranem

nim się w ucieczkę stoczę waszym śladem nauczenie mnie mówić trzymając w zębach strachu gorący kamień

doradcy moi nadęci śmieśni krzykacz



# Okolice sztuki

## Malarstwo z własnej natury

ZCKNA zamojskiego Biura Wystaw Artystycznych uładź rozległy plac przedratuszowy, z trzech stron otoczony wieńcem kamieniczek. Powstały one w latach renesansu, dziś pokrywa je mokry las; zbudowane w czasach sławiących rozum ludzki, obecnie świadczą o ludzkiej glu-

pocie; wzniezione dla podkreślenia europejskich ambicji kulturowych założyciela miasta, dziś oblezione są przez ludzi przybyłych z okolicznych wiosek, które leżą na słastych glebach wydających skromne owoce, albo- wem konserwatywnym chłopaki jest silniejszy od argumentacji służby rolnej i mocy złotniaka. Na rynku i pod arkadami kamieniczek stoją grupki młodych ludzi, a starsi pomykają w rozproszeniu; wszyscy są czarni, płac pokrywa czarna chmura, brzącząca nad bladozieloną i maksymalnie zdeptaną trawą.

W sali BWA, której zawieszony strop już dawno naprawiono, odbędzie się otwarcie wystawy Grażyny Markowskiej. Rok temu skończyła Wydział Malarstwa PWSSP w Gdańsku i przyjechała do Zamościa, gdzie wezwał się jej mąż, Bogdan, trudniący się rzeźbieniem w zaszczerzonej piwnicy. Markowska przystąpiła do „Grupy Zamojskiej”, kilkakrotnie z nią wystawiając. A teraz ekspozycja indywidualna, pierwsza w życiu, chyba ważna nie tylko z punktu widzenia sztuki.

Obrazy są duże, nikt takich w Zamościu nie malował i nie maluje. Obrazy budowane są szeroką plamą i spontanicznie, co na-

rusza czasami wewnątrz logikę kompozycji; koegzystencja form przedstawionych i abstrakcyjnych jest zbyt chwalebna. Tu i ówdzie znaczą ślady profesorskich pouczeń, lub gdańskiej m a n i e r y: złamać jakiś kolor, rozbić go z brzęcem, naszczepić — aż do wrznięcia taw. bogactwa tkanki malarzkiej. Ale dostrzec też można bez trudu naturalne zdolności do budowania konstrukcji monumentalnych, złożonych z kilku form i niewielu kolorów („Ikary”). W takich obrazach — dodajmy jeszcze „Jeziorko łabędzie” — Markowska zdaje się najpełniej realizować swoją malarzką całościowość, która mimo całej różnorodności szczegółowych rozwiązań, mimo krótkiej biografii artystycznej autorki już jest widoczna, przejawiając się w owej swobodzie panowania nad rozległymi powierzchniami, porządkowanymi w sposób zdecydowany przy pomocy potarżających się i lapidarnych kształtów. Te obrazy aż proszą o przeniesienie ich na ścianę w postaci fresku. Miejmy nadzieję, że ojcowie miasta przyjrzą się z czasem uważniej profilowi uzdolnień malarzskich Markowskiej, która w tej chwili jest bez wątpienia najodważniejszą, najbardziej świadomą własnych predyspozycji malarzką Zamościa, dysponującą na dodatek całkiem przy-

zwoitym warszatem twórczym. Oczywiście, dorobek niedawnej studentki jest jeszcze skromny, a obok prac zbudowanych rzetelnie i indywidualnie przetwarzających rzeczywistość, prac zawierających niezadko dyskretną refleksję nad sytuacją człowieka i liryczny stosunek do pejzażu, znanego z akademickich plenerów, znajdujemy również obrazy słabsze, co w rodzaju studiów malarzskich. Wystąpienie Grażyny Markowskiej właśnie w tej chwili, kiedy głośnie i budzące sympatię zapowiedzi „Grupy Zamojskiej” są realizowane w dość skromnej artystycznie postaci, miało ważny sens społeczny, propagandowy. Udowodniło, że w mieście działa kolejny (po rzeźbiarzu) artysta, działa w sposób godny uwagi, który szybko skontaktowanie się z publicznością uznał za sprawę ważną. Normalnie młodzież plastyczna albo oddaje się kulturze, albo popada w wyjątkowość, profanując, omijając z niechęcią sale wystawowe. Nie bez powodu mówi się, że to właśnie plastycy najmniej interesują się autentyczną sztuką współczesną.

IJK

## POD PARASRAFEM

## Balecisko

Człowiekowi ginie 6 tys. zł oraz zapalniczka angielska „Ronson” wartości 500 zł, a on nie melduje milicji i w ogóle raczej siedzi cicho. Dopiero zgłasza się do niego sierżant milicji i powiada: człowieku, zginęło ci sześć tysięcy oraz zapalniczka, a ty co? Wtedy człowiek potwierdza, że faktycznie, a sierżant sporządza notatkę, którą kończy tak: „Udał się do mieszkania Haliny, z którą się przespał, a Barbara dokonała w tym czasie kradzieży 6 000 zł i zapalniczki wartości 7 dolarów, po dokonaniu kradzieży zbiegła. Do chwili obecnej nie meldował na komisariacie, gdyż obawia się rozgłosu i boi się, żeby się jego żona o tym nie dowiedziała”.

Inżynier miał posadę w fabryce i dostał akurat M-4, więc poszedł jakby do przodu, bo w kierunku pełnej stabilizacji. Do szczęścia brakowało mu mebli, więc pożyczzył od chrześcijańskiej matki 10 tys. zł na ten zbożny cel.

Jest poniedziałek, inżynier po robocie i jego kolega z roboty też po robocie, obaj siedzą w kawiarni „Regionalna” i popijają sobie wino, a inżynier ma w kieszeni 10 tys. zł. I wtedy one do nich mrug. Raz i drugi mrug. Ze inżynier jest nieco kulawy, rwać podszedł koleś inżyniera i już Barbara z Haliną przy ich stoliku.

Z początku poszli na dany do „Powszechny”, gdzie pili i tańczyli do nocy, a inżynier też, chociaż chromy na nogę. Następnie wzięli pół litra „żyta” w teren i poszli do mieszkania Haliny na Podgrodzie. We czwóreczkę. Ale w jednym pokoju spało troje dzieci Haliny, nieletnich. A w drugim pokoju spała siostra Haliny, która nie chciała wstać z łóżka i udzielić pastania. Przesło towarzystwo do rana przesiedziało w kuchni, gdzie — jak powiada skromnie Halina — Basia pokazywała majtki, a — jak powiada inżynier — „tak żeśmy przesiedzieli”.

Jest więc już wtorek, rano. Siostra Haliny wybiera się do pracy, dzieci Haliny idą do szkoły i chata się opróżnia. Pół litra minęło jak sen, inżynier asygnuje pieniądze i wyszła koleśka po następne pół oraz żeby koleś podpisał listę obecności w fabryce za siebie i za niego, bo inżynier jest kulawy, a koleś jego podwładny. Inżynierowi w knajpie zginęła już zapalniczka „Ronson”, więc zaczął coś podejrzewać i na wszelki wypadek schował 8 tys. zł do pokrowca od szwajcarskiego zuwaka logarytmicznego marki „Ciba”, a resztą obracał.

Dzieci wychodziły do szkoły i wracały ze szkoły, siostra wychodziła do pracy i wracała

z pracy, koleś skakał po pół litra i Barbara skakała, kładli się i ustawiali, zasypiali i budzili się. Inżynier chciał nawet napocząć siostrę Haliny, ale się nie dała. Życie miało jak sen, tylko koleś musiał raz dziennie listę w fabryce za siebie i inżyniera podpisać, a następnie wrócić do weseleń domu imprezy. I tak do środy, kiedy to obaj panowie obudzili się ostatecznie. Barbary nie było, Halina nie nadawała się do użytku, poszli na stację PKP, żeby się herbatą pokrząć i zbliansować imprezę. Koniec imprezy, mówcza praca powinna się zacząć, ale w pokrowcu zuwaka logarytmicznego marki „Ciba” zamiast 8 tys. zł zostało tylko 2 tys. zł, a w kieszeni nadal brak zapalniczki marki „Ronson”. Wtedy oni wrócili do Haliny i zapytali, gdzie jest ta „szóstka”, ale Halina nie wiedziała. I wtedy oni wrócili do domu, każdy do swego. Mebli nie ma, pieniędzy nie ma, jest tylko zła żona inżyniera oraz kac.

Kiedy Barbara posiedziała 24 godziny w areszcie, przyznała się, że tę „szóstkę” i tę zapalniczkę to ona właśnie... Nie zauważyła, że w pokrowcu zuwaka były jeszcze dwa tysiące. Pieniądże były jej potrzebne na długie oraz na garderobę. Zakupiła dwie sukienki wełniane, parsonkę zamazową, oddała 100 zł długu, a resztą pieniędzy, około 2 tys. zł, opłaciła lekarza, żeby się dobrze opiekował jej 4-letnim synem umieszczonym w szpitalu psychiatrycznym. Wnucnę lekarzowi do fartucha w kopczie. I to wydawał się jedyny sympatyczny gest w całej imprezie. Ta łapów-

ka wręczona lekarzowi. Jedyny ludzki gest. Lecz on właśnie okazał się nieprawdą.

Barbara ma lat 32, 7 klas, pół-etat sprzątaczką za 500 zł, plus 1 000 zł rodzinnego, troje nieletnich dzieci, z których jedno jest w szpitalu psychiatrycznym, a drugie w zakładzie dla niedorozwiniętych, z meżem nie żyje. Będzie oskarżona za kradzież. Halina ma 34 lata, 7 klas, rentę 1 900 zł, troje dzieci i siostrę, z którymi mieszka, mąż się potępił w 1971 roku. Nie będzie o nic oskarżona. One już się znają od dość dawna. I zawsze w ten sposób pracowały. W knajpach dawały się podrywać nadzianym panom, miały to wytrzeć. Potem tańce, woda i chata Haliny, bo mieszkanie Barbary za zimne do tych celów. Najbardziej sobie ulubili waluciarzy z „Regionalnej”, ale z braku takowych mógł być także inżynier, choćby nawet kulawy, oraz jego podwładny. Jak dotąd — obie są nie karane, choć nie wiadomo, czy nie chodzą po Lublinie miliczący a poszkodowani ich klienti.

Jaka tu jest sprawa? Ano, problem półświatka półprostytutek, zlokalizowanego w trójkącie: „Regionalna”, „Europa”, „Powszechna”. To jest margines, ale to margines bardzo niepokojący. I w tym wszystkim zastanawia mnie również sprawa naszego Johna Silvera oraz jego podwładnego. U nas się gardzi dziewczynami tego pokroju, ale nie gardzi się ich klientami. W Związku Radzieckim nazwiiska takich panów wymieniano kiedyś publicznie. Mnie w każdym razie brak tej odwagi.

POM

## Roman Król Klucze

Rozsypane na czarnej ziemi  
Rozrywane przez czas  
Gryzący nietrwale metale  
Szukasz drzwi zamkniętych  
Aby sprawdzić swoje życie  
Odarte z sensu  
Jak pierwsi ludzie  
Odarci przez przesadę  
Otwierać serca trudno  
Bo rdaż zarta zamki  
I tylko zgrzyt słyhać  
Szarpanie i wściekłość  
Odrzucisz klucze  
I pójdziesz po młot  
By rozwalić  
Niedostępną przestrzeń  
I tajemniczość

## Waldemar Dras

kiedy chciałem malować zegar  
czas był jednak szybszy  
od każdego mojego ruchu  
wskazówki  
układały płaskie figury  
i gubiły się  
jedne w drugich  
błądziłem między zamysłonymi  
polami godzin

## Krzysztof Ostaszewski

Poznać nas łatwo.  
W oczach wtulony, niezamierzony do końca  
strach. Jakby oczy ptaka, co się boi deszczu.  
Przysiliśmy. Pobiłiliśmy drzewa.  
Przed progami posadziliśmy zielony krzew.  
Czekaliśmy na nowe. Długo.  
Czasem cierpkie słońca rzucał pod próg  
starzy z dabinastych wozów.  
Pozwolono nam z drewna wystrugać małe kolebki,  
ale nie ułożyliśmy w nie nigdy rąk,  
żeby zabrać płacz i ogrzać ręce.  
Potem czekaliśmy już tylko na nowe.  
Żeby zmęczony płak smutku  
zgasił skrzydła.  
Bo noc to jedna matka, co wszystkim  
zawsze dawała ciepło.

## Tadeusz Kwiatkowski - Cugow

Jan Popek przy robocie  
obrazu „Ludzie kocham was”

On jeszcze nie jest  
ale już się staje  
z kokonem pędzla  
przyfrunie w północie  
gestem stangreta kark konia rozkleja  
w jedwab co z szybą tak ufnie rozmawia  
On jeszcze sady  
nowidzi czerpaniem  
o na uległość stopy  
weźmie słowo  
brylę tak lgnącą do czarnego dzwonu  
w kolor co miłość pozostawił w nowiu  
On najpierw gwałdził  
jak księgę rodzaju  
o miedzyną pierśią  
na odwiecznym stole  
ludzie mu węglem i lampką żalobną  
w kolor co miłość pozostawił w nowiu

## Robimy robotę

W LASNIE główna księgowca zalicytowała nerwowo cztery piki a personalny strzelił kontry, gdy weszły — jak zwykle spóźnione — dr Halina i naza sex bomba socjalna.  
— Pieska pogoda — powiedziała socjalna. — Przepraszam za niepunktualność. Przyшло pismo z centrali. Organizują konferencję opólnopolską.  
— Pięć trefli — zgłosił wicedyrektor. Nie wiadomo, czy zląkł się kontry, czy nie miał zaufania do koloru księgowej. — Pani Basiu, co to za narada? — spytał socjalnej.  
— Sprawy kultury, świetlice, zespoły... Mamy przygotować sprawozdania.  
— Kontra! — uśmiechnął się uprzejmie mgr Zygmunt, asystent dyrektora. — Wyobrażam sobie, jak zaszokujemy zebranych naszymi osiągnięciami.  
— A co pani myśli? — oburzył się wice. — Zakład jest młody, a mamy najlepszy dom kultury w powiecie, teatr amatorów — orkiestrę dętą, kursy angielskiego... No i tych, jak im tam, big-beatowców.  
— Pięć pików — zgłosiła księgowca. — Mocne uderzenie wychodzi z mody, niepotrzebnie wywaliliśmy furę pieniędzy na ich instrumenty i aparaturę. Ze też dalałm się namówić na podpisanie rachunku.  
— A co jest modne? Niech pani proponuje, słucham — zgodziła się sex-Basia.  
— Coś eksperymentalnego — włączył się mgr Zyzio. Wyciągnął z teczek „Budafók” i postawił na stoliku. — Coś à la Grotowski, Tomaszewski czy Bejart, jakieś laboratorium artystyczne.  
— Najpierwo niech pan doprowadzi do porządku laboratorium chemiczne — poradził personalny. — Bajzel jak cholera.  
— Moim zdaniem przydałby się w zakładzie konieczny zespół pieśni i tańca. Zawsze na czasie i dobrze widziane — powiedział wice. — Moglibyśmy wystąpić na najbliższy festiwal krajowy naszej branży.  
— Racja — poparł go wszyscy, oprócz Zyzia.

— A skąd pan weźmie artystów? — zaniepokoiła się nagle księgowca. — To tylko na gitarze elektrycznej można brzdąkać po trzech wieczorach nauki.  
— Jak to skąd? — zapalił się do swego pomysłu wice. — Przecież nasz region słynie ze sztuki ludowej. GS w Wólce ma zespół i Kółko Rolnicze w Kaczej Górze. Oni wszyscy pracują u nas. Zobowiązuję kolegę personalnego do przeprowadzenia odpowiednich rozmów. Żeby nikt nie odmówił.  
— Wspaniale — ucieszyła się socjalna. — Za miesiąc możemy mieć dobry zespół. I zapewnimy im warunki, o jakich dotychczas nie marzyli.  
— Czy wiecie, że w Wólce brakowało nawet pieniędzy na stroje? Jeden z pacjentów opowiadał mi, że niektórzy występują w sukmanach swych dziadków. A instruktorem jest nie żaden fachowiec, tylko pezieta starszy gospodarz — poinformowała dr Halina.  
— Okropne. Zamówimy im kostiumy w Cepeli — podsunęła księgowca.  
— I zaangażujemy instruktora, żeby ich trochę unowocześnił — dodał personalny. — Poszerzyć repertuar. Tańce rosyjskie, francuskie, czeskie...  
— I hiszpańskie. Koniecznie — upomniała się dr Halina. — Mój narzeczony był służbowo w Hiszpanii. Opowiadał mi o flamengo. Kastaniety, mantyle, falbany, coś wspaniałego, o le!  
— A co powie prezes GS z Wólki? — zaniepokoił się Zyzio. — Dostarczą kartofle dla naszej stołówki. A kółko obsługiwało nas swym transportem.  
— Prezesa z żoną zabierzemy na wycieczkę zakładową do NRD. A świetlicy kółka rolniczego przekażemy nieodpłatnie zepsutą szafę grającą z domu kultury. Zreperują sobie i będą mieli rozrywkę. Proszę koleżeństwa, robimy robotę kulturalną i musimy usuać przeszłości na drodze do celu.  
Ten wice ma głowę. Tylko w brydżu mu nie poszło. Księgowca źle obliczyła kartę i leżał pięć pików bez dwóch, z kontry asystenta Zyzia.

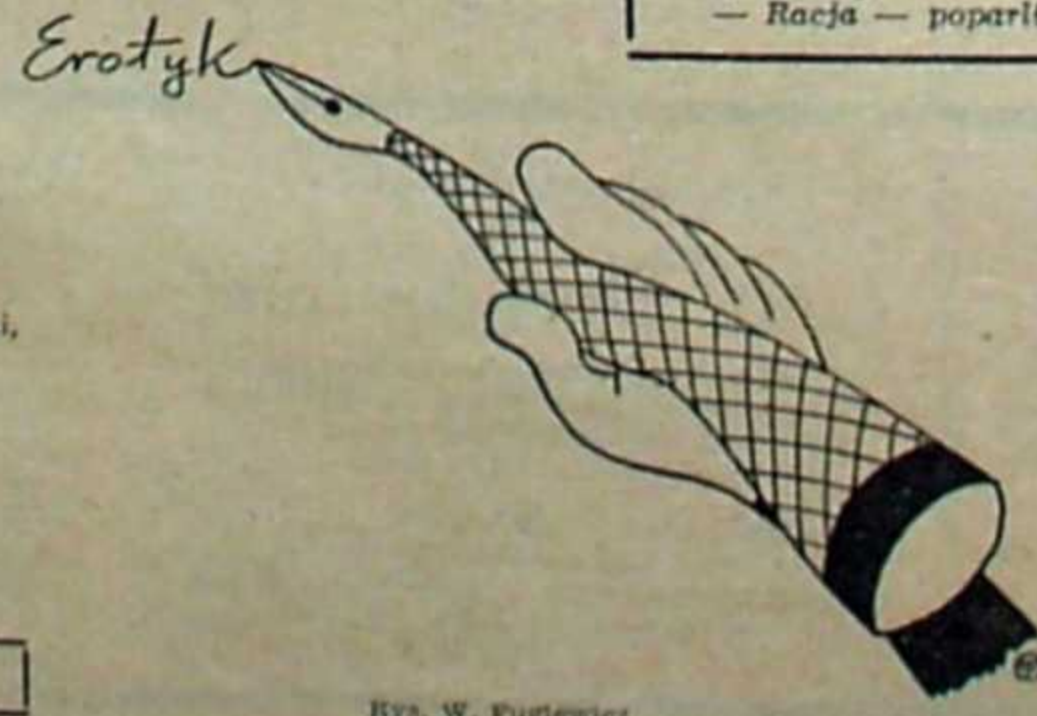
Starszy rada

## Stanisław Stanik

## Co jest możliwe

to jest możliwe  
że powstałaś z pieśni  
i weszłaś w skłó glosu  
równoległe z dźwiękiem  
bez niego i nad nim  
to jest możliwe jak cisza sfer niebieskich  
nieśń cię tłumaczy  
od każdego słowa

kiedy go podnosisz  
i zniośsz  
usprawiedliwia kanony  
i materię  
z których rozbrzmiewa  
i którymi milczy  
tylko motyw rozwijosz  
od niepamiętnego czasu do zapomnienia  
ale jest tylko możliwe  
że pieśń się zaczyna i odchodzi  
a kiedy nieuchwytna  
w zaprzeczenie wpada  
czasem powraca  
pieśń z tóżbitę partytury  
nieznana i naga  
tak naga jak prawda





# Pamiętnik sztabowca

**G**ENERAL Kuropieska — autor wydanych w 1971 r. „Wspomnień dowódcy kompanii” — ogłosił ostatnio drugą część swych pamiętników. Obejmuje ona pięćdziesiąt lat przed II wojną światową, które dla autora było okresem studiów w W. S. Woj., a po ich ukończeniu — pracy sztabowej. Dlatego też mimo niskiego stopnia (majorem miał zostać 11.1940) posiadał Kuropieska dogodny punkt obserwacyjny. Jego wspomnienia z tych lat są ciekawym przyczynkiem do historii Wyższej Szkoły Wojennej, do poznania jej wykładowców i komendantów, gen. T. Kutrzeby, późniejszego dowódcy Armii „Poznań”. Kuropieska nie kryje swego uznania dla walorów osobistych i wojskowych gen. Kutrzeby, człowieka, który w formowaniu kadr oficerskich wojska II Rzeczypospolitej odegrał rolę zasadniczą, a który na stanowisku szefa Sztabu Głównego odegrał zapewne rolę bardziej jeszcze istotną (warto sobie przypomnieć, co o Kutrzebie pisze M. Porwit w „Komentarzach”).

Wśród ówczesnych wykładowców W. S. Woj. był cały szereg wybitnych oficerów, którzy w Kampanii Wrześniowej i w późniejszej służbie dali się niejednokrotnie poznać od najlepszej strony. Kuropieska o swych nauczycielach pisze na ogół w tonie szczerzego uznania; dostrzegając ich wady, ale nigdy nie pisze o nich bez sympatii. Nie tylko jednak wiadomości natury personalnej przynoszą wspomnienia Kuropieski z lat studiów i pracy sztabowej. Można się z nich bardzo wiele dowiedzieć o metodach pracy w W. S. Woj., o sposobach kształcenia i dokształcania oficerów sztabowych, a także wyższych dowódców, o pracy sztabu dywizji piechoty, o organizowaniu w niej szkolenia, ćwiczeń i manewrów.

Opracowana książka ma cechy właściwe na ogół pamiętnikom sztabowców i wyższych dowódców; nie widać w niej... wojska. Niestety, na wyższych szczeblach dowodzenia i w sztabie częściej miało się do czynienia z mapą niż z żołnierzem i z olówkiem niż z karabinem. Dlatego też czyta się tu często o ćwiczeniach odbywanych tylko z mapą w rękę, lub o tzw. „ćwiczeniach szkieletowych”, odbywanych przy udziale sztabowców i środków łączności. Są to konsekwencje konieczne. Trudno przecież zajmować się szkoleniem szeregowców, a jednocześnie opracowywać plany gier wojennych dla wyższych oficerów.

Ostatni rozdział książki to już Kampania Wrześniowa. Szkoda, że tylko rozdział. Potraktujmy go zatem jak konspekt dalszej części wspomnień autora, w której obok przeżyć wojennych, znalazłyby się wrażenia z Oflagu i służba wojskowa autora po 1945 roku.

General Kuropieska jest pamiętnikarzem, co się zowie. Wspomnienia jego są nie tylko ciekawe, nie tylko interesujące, ale i dobrze napisane. Stylem po żołniersku oszczędnym, lapidarnym i zwięzłym, ale mimo to obrazowym i barwnym.

Opracowana książka (znana już wcześniej wąskiemu gronu czytelników z „Wojskowego Przeglądu Historycznego”, gdzie była drukowana w odcinkach) — jak i pierwsza jej część — ilustrowana jest dużą ilością fotografii. Są to przeważnie podobizny wymienianych w niej postaci (dziś już historycznych), a także spora ilość ciekawych zdjęć z Września.

**Józef Kuropieska: Wspomnienia oficera sztabu 1934—1939. Warszawa MON 1972, str. 396, ilustr.**

B. K.

## Szyrogram literacki nr 9

Na miejsce liczb w diagramie przeznaczone są odpowiedzi imiennicze i wyrazy pomnożeniowe. Tak uszeregowane litery dają fragment poematu satyrycznego K. I. Gałczyńskiego.

Wyrazy pomnożeniowe:  
Ozran przewoźnika pokarmowego — 72, 49, 24, 59, 64, 73, 84.  
Przerwa w nauce — 37, 57, 2, 46, 92.  
Gluptota, bzdura — 18, 191, 37, 14, 92, 194, 5, 76.  
Dużo go spożywa kulturalne społeczeństwo — 9, 24, 41, 53, 28.  
Balagan — 87, 48, 21, 78, 51, 35.  
Przyrad elektryczny działający jak zawór jednokierunkowy — 13, 7, 11, 47, 81.  
Komedia Gogo'a — 13, 86, 23, 59, 3, 54, 39.  
Owocostan winorośli — 12, 42, 34, 19, 56.  
Kierowca samolotu — 29, 17, 22, 79, 85.  
Gatunek fason — 48, 68, 88.  
Grubsza niż karton — 10, 13, 17, 55, 21, 62, 74.  
Chroniony w Polsce drapieżnik z rodziny kotów — 73, 83, 99, 44.  
Znak szczególny — 12, 66, 91, 58, 68, 6.  
Jednostka handlowa rzodkiewki — 1, 43, 22, 65, 8, 82.  
Należność za wino — 29, 63, 56, 24.  
Imię bohatera cytowanego poematu — 6, 33, 25, 84, 35, 192, 69, 183, 46, 27.  
Zegno nazwiska — 29, 196, 67, 99, 79, 4, 109.  
Stolica lubelskich jezior — 195, 71, 35, 18, 38, 61.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11
12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
24	25	26		27	28	29	30	31		32	33
34	35	36	37	38		39	40	41		42	43
	44	45	46	47	48	49	50	51		52	53
54	55	56	57	58		59	60	61	62	63	64
64	65		66	67	68	69	70	71		72	73
73	74	75	76	77	78	79	80	81	82	83	84
84	85	86	87	88	89	90	91	92	93	94	95
95	96	97	98	99	100	101	102	103	104	105	106

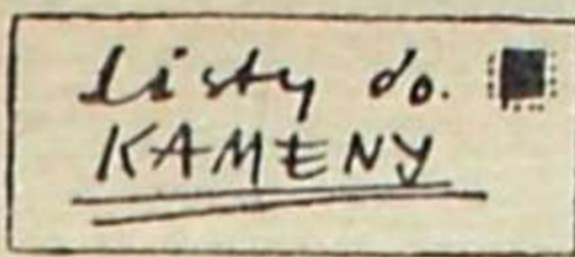
Rozwiązania krzyżówki można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 131, 20-959 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy trzy książki.

Norwegianem szyrogramu z Nr 7 jest fragment wiersza Juliana Tuwima p.t. „Buty”.

Jak dwa kundle parsywe, tak stawiam ciężkie od błota kapcie przed łóżkiem na straży

Spię martwo, z srebrną szramą kłębię na twarzy z ręką wiszącą miękko nad mokrym bucikiem.

Za prawidłowe rozwiązanie szyrogramu Nr 7 nagrody wylosowali: Henryk Sowiński, Lublin ul. Narutowicza 2A/2, Eugeniusz Tokareczuk, Hrubieszów, ul. Polna 15 m. 28, Zofia Pietkowska, Lublin, Narutowicza 237, Janina Mucha, Jelenia Góra, ul. Zeromskiego 1a.



### Mój pierwszy krytyk

W 6 numerze „Kamenu” z wielkim zainteresowaniem przeczytałem artykuł pt. „Mój pierwszy krytyk” Czesława Kuriaty, z tym większym, że znam zarówno autora, jako poetę i prozaka, jak i ówczesnego krytyka, którego nazwiska łatwo się domyśliłem, chociaż nie było ono ani razu wymienione.

To, co napisał Kuriaty, na pewno mogłoby też napisać jeszcze wielu innych jego kolegów po piórze. Wydaje mi się, że od tego, jaki jest ten pierwszy krytyk, w dużej mierze zależy start młodych poetów. Ci pierwsi krytycy są lepszymi czy gorzej krytykami, ale przeważnie nie mają oni za grzech podejścia pedagogicznego, nie są w ogóle psychologami. A szkoda... Do gdyby tak np. nauczyciel w pierwszej klasie szkolnej podstawowej oceniał ucznia, jak niektórzy krytycy oceniają początkujących poetów, to nie byłoby na pewno ani jednego dobrego ucznia, lecz same tumany. A trzeba wiedzieć, że czasem jedyną rzeczą zachętą, ludzką oceną, może być przychylny i wielki sukcesów twórczy. Czasem warto zachęcić nawet przegranych. W większości wypadków komus zostaje jednak bardzo na

przekreśleniu raz na zawsze poetyckiego noweljusza. Ale to przekreślenie miał się czasami...

(Nazwisko i adres znane redakcji)

### Na równych prawach

Felieton MAJ-a „Na równych prawach” („Kamena nr 7), przypominający „Młodej Rzeczypospolitej”, wywołał wspomnienia młodości: lata 1945—47, lata trudne, ale piękne... Warto może byłoby przypomnieć fakt, iż jeden z numerów „Młodej Rzeczypospolitej” poświęcony był w całości Lublinowi; jego łamy wypełniały artykuły licealistów lubelskich. Ciekawe byłoby krótkie chociażby omówienie tego numeru, a jeszcze bardziej — przedstawienie losów autorów zawartych w nim publikacji. Kim są, co robią obecnie? Może zajęłaby się tym redakcja „Kamenu”?

Bylbym wdzięczny za informację, gdzie można by przeczytać wspomniany wyżej, lubelski numer „Młodej Rzeczypospolitej”.

Jerzy Łopuszyński  
Lublin

Od redakcji: Dziękujemy za interesującą propozycję, z której być może skorzystamy. Jeśli chodzi o drugą sprawę: lubelski numer „Młodej Rzeczypospolitej” jest dostępny w Bibliotece Wojewódzkiej im. Łopacińskiego w Lublinie (nr 35 z 1946 r.).

### Klub prasy w Zamościu

Będąc niedawno w Zamościu ze zdumieniem stwierdziłem, że stosunkowo niedawno otwarty w przyziemi Ratusza klub prasy jest dokładnie zamknięty, a na domiar wszystkiego jedna z jego wielkich szyb, uchodząca w skład ścianki od strony ulicy, została rozbita, a następnie przewioziona zastąpiona wielkim domowym sklejką. Z wariacyjnych źródeł dowiedziałem się, że klub zdeustawiała miejscowa chuliganeria i niedzielną młodzież, która niemal od początku istnienia przybytku upodobała sobie jego rzeczywistość i przyjemne pomieszczenia. Dozdoło do tego, że tanie wino pito bezkarnie i jawnie, a „mięsa” dyskusje były normą. Normalni ludzie zaczęli z czasem omijać klub, również Delegatura BWA zrezygnowała z ekspozycją w nim prac malarskich i rzeźbiarskich, jako że pluto na nie i niszczone przy pomocy innych metod. Pani, której placem za utrzymanie porządku w klubie, była bezradna wobec arogantycznej i twardej postawy młodzieńców i towarzyszących im dziewczek.

Tak i klub, któremu patronował „Ruch”, jest obecnie zamknięty i oczekuje na remont. A tyle było starań i zabiegów wokół jego uruchomienia właśnie w tym miejscu — jak na warunki Zamościa, wyjątkowo dobrym, świetnie usytuowanym. Ludzie zamojscy nie dajcie się terroryzować grupą brudnych wandali, nie dopuście do ponownej dewastacji klubu zaraz po ukończeniu jego remontu!

Wacław Urbanek  
Kraków

## Greckie migawki

# KARNAWAŁ W KSANTI

**K**SANTI — niewielkie 23-tysięczne, kolorowe miasteczko, malowniczo położone u zboczy gór w północnej Macedonii. Każdego roku na początku marca odbywa się tu wielki wiosenny karnewał tradycjami sięgający dawnych obchodów ku czci bogini Demeter — bogini urodzaju i wiosny. W tym właśnie święcie wiosny uczestniczył 40-osobowy Zespół Pieśni i Tańca lubelskiej Akademii Rolniczej.

Grecka przywitała nas pełnią wiosny, kwitnącymi drzewami, zielonymi polami, ostrym, górskim wiatrem oraz buziaki — melodiami, które towarzyszyły nam podczas wędrowki po Helladzie.

Na ksantyskim dworcu pierwsza jakże miła niespodzianka: obok naszych greckich gospodarzy — przedstawicieli polskich firm, które tu właśnie w Ksanti wybudowały nowoczesną cukrownię. Kwiaty, serdeczne życzenia. Od tej pory nasi „cukrownicy” nie odstępowali nas ani na krok.

Wieczorami Ksanti wyglądał jak wielkie, bajecznie kolorowe wesołe miasteczko. Z głośniekich nieprzerwanie płynęły dźwięki buziaki, ulicami przewalały się tłumy mieszkańców, turystów z Salonik, Aten. Okrzyki sprzedawców konfetti mieszały się z nawoływaniem właścicieli straganów, na których można było dostać ucielesnioną karnawałową maski.

Centralny plac Ksanti z rzeźnicą oświetlony. Nad placem — sznurzy lampionów. Obok zespołu Pieśni i Tańca Akademii Rolniczej w Ksantyskim karnawale uczestniczyły zespoły z Francji, Włoch, Szwecji i Rumunii. Każdy występ naszego lubelskiego zespołu przyjmowany był jednak najgorzej. Największą furorę robiły nasze dziewczęta z powodu buziaki. Buzaki — to taniec, taniec rak, brzucha i nog. Taniec mięski.

„U małego Turka”, w jednej z niezliczonych ksantyskich kafelek, drzew częsta z zespołu podobily Greków tańczące właśnie buziaki. Tańczyły tak jak oni, a to struka nielada.

Pobyt w Ksanti był okazją do zawierania nowych znajomości, przyjaźni. Stanowił także okazję do wspólnej nauki tańca. W wielkiej sali, gdzie spotykały się wszystkie uczestniczące w święcie wiosny zespoły, tańczono więc i śpiewano. Królował oberek, walosy i oczywiście buziaki. Wszystko to stanowiło dobrą zaprawę do koncertów, a tych ze-

spółowi nie brakowało. Dziennie występowało po dwa trzy zespoły.

Kulminacyjnym punktem ksantyskiego święta wiosny był na zakończenie karnawałowy pochód. Ulicami miasteczka wśród szpalarów publiczności deflowowały olbrzymie postacie znane ze starożytności: Zeusa, Heraklesa, Demokryta, Platona. Wszystko to przy dźwiękach muzyki i nieumlących oklaskach.

Barwnie i kolorowo prezentowały się zespoły greckie, które otworzyły karnawałową paradę. Równie barwnie wyglądał Włosz, Rumuni. Ale znowu nasi zbiegli najwięcej oklasków. Szczególnie podziw wprawiali „ulani” i „szlachta” w kontuszach.

Byliśmy dosłownie hołubieni przez 80-osobową załogę polskiej cukrowni, o czym wspominałem na początku.

Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem tak — powiada przysłowie. W Ksanti spotkaliśmy lubelskiaków pracujących przy budowie słodkiej fabryki. Między innymi na placu budowy zastaliśmy inżyniera Jerzego Łukomskiego z LPiP, stolarza Jerzego Żytko, a — jak mówili nam nasi gospodarze — w Ksanti lubelskiaków było znacznie więcej. Wyjechali już do Kraju.

Henryk Ruk, wicedyrektor cukrowni, przyjechał tu najwcześniej.

— Od samego początku — opowiada — tempo pracy było bardzo duże. Całą cukrownię zbudowaliśmy w ciągu 17 miesięcy. Była już próbna kampania, w czasie której przerobiliśmy ponad 10 tysięcy ton buraków. Wyprodukowaliśmy 7 tysięcy ton cukru. Naszą budowę można by porównać do Czechowic. Pracujemy również, sztybka, a i organizacyjnie nie pozostajemy w tyle. Do lipca musimy się uporać ze wszystkim. Uporządkować teren budowy, zasadzić kwiatki, słowem zapiąć budowę na ostatni guzik.

Sześciodniowy pobyt w kolorowym Ksanti dobiegł końca. Przed wyjazdem, po ostatnim koncercie — spotkaniu z całą załogą cukrowni. Wspólna kolacja, tańce i rozmowy do białego rana.

Serdecznie żegnani przez naszych polskich opiekunów i greckich gospodarzy ruszyliśmy dalej. Przed nami Kawaia, pięknie położone nad brzegami morza Egejskiego 50-tysięczne miasto, starożytna Filipi i amfiteatr z czasów Aleksandra Macedońskiego, Saloniki i Nassa. I nowe spotkanie, nowe przyjaźnie i wrażenia.

Janusz Wszytko

## »KAMENA«

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTAŃSKI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSLAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMINSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie — 32 zł, półrocznie 16 zł, kwartalnie 13 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch”. Pozostałe — mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę za zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch” Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340 Warszawa, konto PKO 1-4-100624. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamierzonych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: RSW PRASA — KSIĄŻKA — RUCH Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6, Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamal MIECZYSLAW PSUEK.

Adres redakcji: 20-016 Lublin, ul. Narutowicza 23

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 235-83, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-016 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

ŁZGraZ. Zam. 1000, 13.04.73, 17993, G-4

Kamena str. 11



Rys. L. Szalecki

## Z KSIĘGARSKIEJ LADY

### EKONOMIA, POLITYKA

„VIII Plenum KC PZPR, 26 luty 1973. Podstawowe dokumenty i materiały”. Książka i Wiedza 1973 s. 136 z 7.  
Jerzy Prokopczuk, Trzeci świat w poszukiwaniu dróg rozwoju. Wyd. MON s.100 z 6.  
Jan Drohojowski, Ameryka Łacińska z bliska. LSW 1973 s. 306 z 29. Wyd. 2

### ANTROPOLOGIA

François Daumas, Od Narmera do Kleopatry. Cywilizacja Starożytnego Egiptu. PWN 1973 z 299.

### TEATR, DRAMAT

Kazimierz Braun, Teatr wspólnoty. Wyd. Literackie 1973 s. 337 z 45. (Jest to czwarta z kolei teatralna książka K. Brauna, kierownika artystycznego i dyrektora Teatru im. J. Osterwy w Lublinie. Rozważania Brauna skupiają się wokół współczesnych tendencji w teatrze polskim i światowym; z powodzeniem podejmują trudny, bo centralny problem ujawnienia, metodą historycznych rozwiązań, modelu teatru „otwartego” w kontrastowym zestawieniu z modelem teatru „zamkniętego”, czyli trapiący problem współczesnego a dawnego teatru).

Paul Surer, Współczesny teatr francuski. Inscenizatorzy i dramaturgowie. Przeł. A. Jezewski. PIW 1973 s. 278 z 55.

Jerzy Szaniawski, Dramaty wybrane. Murzyn, Ptak, Zeglarz, Adwokat i róża. Most, Dwa teatry. Wyd. Literackie 1973 s. 409 z 39. (W serii: Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej).

### PROZA

Jerzy Andrzejewski, Trzy opowieści. (Ciemności kryją ziemię, Bramy Raju, Idzie śladem po górach) PIW 1973 s. 492.

Lesław M. Bartelski, Niedziela bez dzwonów. Wyd. Łódzkie 1973 s. 294 z 17.

Jerzy Narbutt, W mieście wesołe. Wyd. Literackie 1973 s. 144 z 10.

William Styron, Wyznania Nata Turnera. Tłum. B. Zieliński. Czytelnik 1973 s. 649 z 38. (W serii: Nike).

Borys Pasternak, Drogi napowietrzne i inne utwory. Tłum. i wstępem opatrzył S. Pollak. Czytelnik 1973 s. 613 z 33. (W serii: Nike).

Anna Jókai, Wintlen i ma. Przeł. K. Pisarska. Pax 1972 s. 237 z 20.

### POEZJA

Horacy, Pieśni. (Tekst dwujęzyczny). Przeł. S. Gołębiewski. LSW 1973 s. 483 z 130.

Adam Wbidek, Wiersze wybrane. Wyd. Literackie 1973 s. 192 z 25. Szkice, esaje, studia.

Jan M. Miller, Na krywej przemian. PIW 1973 s. 311 z 29. (Szkice literackie. M. in. o Zeromskim, Krasinskim, Mickiewiczu).

Aniela Lempicka, Wyspiński, pisarz dramatyczny. Idee i formy. Wyd. Literackie 1973 s. 278 z 60.

Graham Green, Moje fascynacje. Przeł. I. Doleżał-Nowicka. Pax 1973 s. 391 z 48. (Szkice głównie z literatury angielskiej).

Jerzy Łojek, Wiek Markiza de Sade. Szkice z historii obyczajów i literatury we Francji XVIII wieku. Wyd. Lubelskie 1973 s. 443 z 48.

Stanisław Makowski, „Kordian” Juliusza Słowackiego. Czytelnik 1973 s. 223 z 17.

Maria Bogucka, Ziemia i czasy Kopernika. Ossolineum 1972 s. 234 z 33.

### HISTORIA LITERATURY

Józef Magnuszewski, Historia literatury czeskiej. Zarys. Ossolineum 1973 s. 332 z 50.



Przeżyjemy to jeszcze raz

DYREKTOR teatru w Lublinie, p. J. Grodnicki udzielił przed pięćdziesięciu laty wywiadu przedstawicielowi „Głosu Lubelskiego”...

minuta myślenia

Niestety wiemy

W PROGRAMIE telewizyjnym zatytułowanym „Pojedynki” (9 IV 1973) przedstawiającym zmagania Jacka Zemantowskiego z Tadeuszem Rossem...

Odpowiedzi redakcji

Emilia z Szastarki. Niestety, słusznie polonistka postąpiła, nie wydając żadnej opinii po przeczytaniu tego wiersza...

M. F. Nowy Targ. Tym razem może odrobnie lepiej, ale jeszcze nie do druku. Na nasze życzenie nie dysponuje Pan wystarczającą celnością...

J. F. Krasnystaw. Jeśli ktoś z młodych autorów chce zapisać czysta kartkę możliwie największą ilością banalów, to tylko polecać mu temat zawieszony miłości...

R. C. Lublin. Bardzo to jeszcze niewyraźne, czasem skłócone w tonacji, ale chyba na podstawie „Szkicu” można mieć nadzieję...

oni Fertner, który będzie odwarzał swoje najwspanialsze kreacje — Mrośka w „Weselu Fonia”...

Pierwszy tydzień maja wypełni szeregiem gościnnych występów, w ocenie miejscowego zespołu, p. Marja Przybytko-Potocka...

Pertraktuję też ze znakomitym pierwszym amantem „Teatru Normalności” p. Józefem Węgrzynem, który jeszcze nie był w naszym mieście...

niż śmiałym, nawet sprzecznym z okolicznościami zajęcia i aktualnej pogody, pokazuje się publicznie...

Intencja pewne sposoby zachowania się, pewne sytuacje, pewne wzruszenia, których urok jest tylko wtedy zachowany...

Nie propaguje tu dulszyczyny, ani świętoszkostwa. Praktykowania wstydliwych rzeczy, za parawanami pruderi, miłość, piękno, uśmiech — ależ tak, tak, tak...

Mówi się „kobieca wstydliwosc”. Wstydliwosc? Śmieję się. Odsłanianie zostało posunięte tak daleko, że wprost następuje na granicę dopuszczalności...

Nie jestem na tyle naiwny, by sądzić, że za pomocą tych kilku słów uda mi się coś zmienić w

I słuchajmy, słuchajmy dalej słów dyr. Grodnickiego:

„Może nie raz spotykam się z zarzutami, że wiersza czasem repertuaru oparta jest na współczesnych sztukach i robię to jednak z musu, gdyż brak odpowiednich kostiumów i trudności techniczne...

Dalej dyrektor teatru oświadczył: „Z wielkim zadowoleniem muszę stwierdzić na korzyść publiczności lubelskiej, że sezon przetrwał bez operetki, co świadczy o pewnym wyrobieniu teatralnym i czegoś dawniej w Lublinie się nie praktykowało...”

Jeśli za pięćdziesiąt lat ktoś zechce sięgnąć do zarywek lubelskiej prasy, dowie się, że w 1973 r. występował w Lublinie gościnnie Wiesław Głinaśki.

Dużo to? Hmm...

MAJ



Noty i notki

Książka uwag i wniosków — jak przechrzczono dawną książkę załóżnik — na lubelskim dworcu znajduje się pod opieką kasjerki w okienku nr 7. Można je — panią i książkę — swobodnie oglądać przez szybę...

Co to są delikatesowe artykuły, przekonalem się w tygodniu przedświątecznym. W lubelskich „Delikatesach” przy ul. Narutowicza sprzedano mi przecenione małaki w occie...

Nie proponuję też podobnej podróży dyrektorowi Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego. Porównanie jakości naszych i wrocławskich wyrobów masarskich również mogłoby odbić się niekorzystnie na jego cennym zdrowiu...

Nie miała racji koleżanka Irena Bańkowska z „Życia Warszawy” (nr 98) oburzając się, że na rozmowę z obecnym kierownikiem Wydziału Gospodarki Komunalnej PWRN w Lublinie...

„Dookoła świata” jest piśmie młodzieżowym i wobec tego lubuje się w pewnego rodzaju tematyce. W nr 22, a więc na okres świątecznych ferii, zaplanowało swoim młodym czytelnikom takie oto pozycje: „Wstydliwą Eroa”...

Musiałeś robić u nas coraz większą karierę. Operetka w Gdyni była wystawiana „Maszyna wierności”, w której libretista Jerzy Panasewicz najpierw proponuje: „By zabawa była wesola i trzeba babki rozdziać do gola”...

Tygodnik „Zwierciadło” zrobił małą ankietę na temat, co lubią wachać różni ludzie. Nie dziwię się, że Beata Tyszkiewicz lubi wachać drogie perfumy, a Stanisław Dygat włoską wodkę „Grappy”...

„Rozwiązanie małżeństwa staje się formalnością niewiele bardziej skomplikowaną niż zarejestrowanie samochodu, a z pewnością tysiąc razy łatwiejszą niż uzyskanie prawa jazdy”...

Coraz częściej w naszych dziennikach i czasopiśmie można spotkać wielkie ogłoszenia firmy „Pollena”, reklamujące „TRAMP” — dezodorant do stóp, który rzekomo usuwa nieprzyjemny zapach...

Niezwykle trafne formalnie i merytorycznie sprostzenie przeczytałem w „Ekspresie Wieczornym” (nr 91): „Mimo nawału zajęć, wszyscy nasi rzeczoznawcy są obecnie przeciętnie pracą”...

JOD



No i mamy dramat: Zuzanna obrażona przez Barbarę opuściła katowicki hotel. Mariusz znalazł się w bardzo niezręcznej sytuacji. Od życia nie można jednak za wiele wymagać...

— Mariuszu, co się z tobą dzieje? — Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Ale nagle przypomniał mi się wizer Malgorzaty Hillar. Postuchaj! — Przychodził nocą Zabierał jej włosy spłucze w mroku Zabierał burzliwy półksiężyc brzucha Zanurzał się w niej jak chrząszcz w słonęcej naturcji Zamykał ją w dłoniach cieszno szczerze Nie czuł że się wymyka Nie słyszał jak odchodzi Nie słyszał obcych czerwonych pantofli — Dziwny wizer. Jakis bez rymów. Nie bardzo go rozumiem. Ta Hillar to twoja znajoma? — Basiu, to sławna poetka! Przypomniał mi się ten utwór, bo boję się, że ty też mi się kiedyś wymkniesz. — Nie bój się! Nie mam czerwonych pantofli. Ale wó się stało, że rezygnuję z wiersza? O ile wtem, poezja zajmuje się panna Zuzanna... Wstał rozpamiętując — Przed chłwą obcizłaś, że więcej o niej nie wspomnisz. No powiedz, kto zaczyna? — Nastroj! Mariusza znów się zmienił. Nie tak wyobrażał sobie ten pobyt w Katowicach. Przed oczami stanęła mu

postać Zuzanny. Co ona robi w tej chwili? Zdał sobie sprawę, że nie może zostać z Barbarą w tych czterech ścianach hotelowego pokoju. Ial się, że mogą oddalić się od siebie, że jeszcze jedno nierozważne słowo jej lub jego popsuje wszystko bezpowrotnie. — Odpowiedział mi do taksówki? — Barbara pytanie odpowiedział na pytanie. Skłnął głową. Wiedział, że najlepiej będzie, jeśli zostanie sam. Coś się to nim szatał. Wsiadł razem do samochodu. Basia usiłowała protestować, stwierdziła że sama trafi, ale Mariusz uwał ją odwieźć pod sam dom. — Zatelefonuj rano do ciebie do hotelu — powiedziała na pożegnanie. Ucałował ją w rękę. — Dokąd teraz? — Zrucił kierowca. — Na dworzec kolejowy? — zdysponował. Słowa te wypowiedział tak niespodziewanie, że aż sam się zdziwił. Było już jednak za późno, aby mógł się cofnąć. Nie chciał zresztą głupio wypaść wobec taksówkarza. Zuzanna siedziała w poczekalni. Była zamęczona. Drgnęła, gdy usłyszała głos Mariusza. — Skąd się wzięłaś, Mariuszu? Och, jak dobrze, że jesteś. Ale co zrobiłaś z panną Basią? Jest tutaj? — W oczach jej pojawił się niepokój. — Nie. Odwołałem ją do domu. — Jak to? — Po prostu odwołałem. A teraz ciebie zabiorę z powrotem do hotelu. Powiedz mi jednak, co to wszystko ma znaczyć? Ja nie, a nie nie rozumiem.

Dlaczego napisałaś mi na kartce, że Basia jest zią dziewczyną? — Sam się o tym kiedyś przekonasz. Oby tylko nie było za późno! Daruj, ale wolałabym zmięknąć temat rozmowy. Już się dosyć nadenerwowałam. To ponad moje siły... Mariusz usiadł koło niej. Położyła ręce na jego kolanach. — Coś ty ze mną zrobił? Myślałam, że już nikogo w życiu nie pokocham i nagie poznałam ciebie. No w końcu byś wszystko ułożyło się inaczej, gdyby na swojej drodze nie zjawiła się Barbara. Dlaczego tak się stało, dlaczego? — Niezgodziwanie ujęła głowę Mariusza i zaczęła pokrywać ją postawionymi. — Zuziu, co robisz? Jakże to? Nie wypada... cofnąć rękę. — Gdy ktoś kogo kocha to wszystko wypada. Ja bym ci nieba przychyliła. Uczyniłabym czego byś tylko zapagnął. Nawet życie bym za ciebie oddała. Byłoby tylko zostało ze mną. Ale wiem, że to nie możliwe. — Zuziu, powiedz mi, powiedz koniecznie, czy Basia zrobiła ci jakąś krzywdę? Co zaszło między wami wtedy, gdy byłem to łazience? — Dławiąc się, nie wstydząc się do tej rozmowy. Nie wstydząc się, do się rozbeztę. — Wobec tego chodź do hotelu. Wypisz się, wyczerpię i wszystko będzie dobre. Zajęty miejsce w taksówce. „Co będzie rano, gdy Basia zadzwoni? Co będzie z powrotną jazdą? Mariusz czuł, że sytuacja coraz bardziej się komplikuje, że zabrakło w zalech bez wyjścia... (oda.)